

Kay Hooper

Ktoś niezwykły

Rozdział 1

Gypsy gwałtownie przydusiła nogą pedał hamulca i skręciła w bok. Mały brązowy królik jak strzała przemknął przez szosę tuż przed samochodem.

„Udało się” - pomyślała z zadowoleniem. Lecz uczucie ulgi okazało się cokolwiek przedwczesne: dobrze już wysłużony volkswagen wpadł w poślizg.

Dziewczyną mocno szarpnęło w tył, potem jeszcze silniej w przód. Wyrznęła głową o kierownicę, aż w oczach stanęły jej świece. Znów poleciała do tyłu. Rzuciła ją wściekle, nie wiedziała już, gdzie góra, gdzie dół. Kierownica, trzymać kierownicę! Chwyła ją kurczowo. Za wszelką cenę musi opanować oszalały pęd samochodu! Zaczęła się szamotać z dźwignią zmiany biegów. Skręcić, skręcić na pobocze! Kątem oka dostrzegła, że owo pobocze było tylko wąziutkim pasem piachu przy szosie - zaraz za nim zaczynało się stromo opadające w dół zbocze. Serce skoczyło jej do gardła. Z przerażeniem zdała sobie sprawę, że za chwilę może runąć w przepaść.

Silnik volkswagena krztusił się i rzeził. Samochód wpadł na zbawczy skrawek przydrożnego żwiru. Drobne kamyki chrzęściły pod kołami i stukały w podwozie. Gypsy szarpnęła kierownicę w prawo, przyciskając jednocześnie hamulec; silnik umilkł nagle sam, ale dziewczyna dla pewności przekreśliła szybko kluczyk w stacyjce.

„O Boże - myślała dygocąc - o Boże”.

Wóz wytracił prędkość. Gypsy złapała teraz dźwignię hamulca ręcznego i pociągnęła z całych sił, aż coś jej chrupnęło w stawie. Samochód zatrzymał się.

Długą chwilę siedziała bez ruchu. Z tyłu stanęło jakieś auto. Usłyszała trzask otwieranych drzwi, a potem głęboki i spokojny męski głos:

- Nic się pani nie stało? Po krótkiej zaś pauzie:

- Czy pani u licha nie wie, że jechanie bez świateł stopu jest niebezpieczne i karygodnie lekkomyślne? Gypsy szarpnęła klamkę i wyskoczyła z wozu. Zawrzał w niej gniew. Ten człowiek dobił jej ukochaną

Daisy.

- Cholera jasna! To pan mnie stuknął! Daisy miała światła stopu! Przynajmniej lewe! - krzyknęła z wściekłością.

Teraz dopiero spojrzała na mężczyznę. Musiała przyznać, że nie wyglądał na pirata dróg.

Był wysoki, szeroki w ramionach, lecz przy tym szczupły. Bujne, kędzierzawe i niemal na ramiona opadające włosy lśniły ciemnym, brązowomiedzianym blaskiem. Wielkie zielone oczy patrzyły przenikliwie. Dostrzegła, że i on był zdenerwowany, choć usiłował tego nie okazywać. Zaciskał gniewnie usta.

Nie, nie wyglądał ani na cwaniaka, ani tym bardziej na jakiegoś zabijakę.

Otrząsnęła się i już miała się do przystojnego nieznajomego uśmiechnąć, kiedy ten zawołał:

- Na Boga! A ja myślałem, że ostatnie dzieci - kwiaty dorosły już dawno temu!

Machinalnie spojrzała po sobie, ale nie dostrzegła nic niezwykłego. Sprane dzinsy, malowniczo połatane kraciastą flanelą, wymięta nieco trykotowa koszulka, trochę rozdeptane i wytarte buty z czubem. Mała, ręcznie wycięta ze srebrnej blachy pacyfka, powieszona na piersi na skórzanym rzemyku z supłem. Pomyślała, że określił ją trafnie. Ale to jej nie poprawiło humoru. Gypsy z zasady nie przejmowała się swoim wyglądem. Było jej wszystko jedno, czy temu facetowi podoba się jej strój, czy nie. Uważnie, nie bez poczucia wyższości, obejrzała jego staranny i schludny ubiór. Klasyczny garnitur z kamizelką, zadziwiająco drobne stopy w błyszczących lakierkach. Potem zerknęła na olśniewający,

szarosrebrny mercedes z przyciemnionymi szybami i ciągle otwartymi przednimi drzwiami. Śmiało spojrzała mężczyźnie w oczy. Na śniadych, gładko wygolonych policzkach dostrzegła lekki rumieniec. Uśmiechnęła się w myśli - i machnęła ręką. Nie będzie zawracać sobie głowy wyprowadzaniem go z błędu. Niech sobie myśli co chce. Jego sprawa. Nie siląc się na grzeczność, rzekła ostro:

- To pan uderzył Daisy z tyłu. To pańska wina.

Mężczyzna zerknął na wgnieciony tylny zderzak volkswagena. Nie było wątpliwości, miała rację.

- Owszem - odparł krótko. - Ale pani jechała bez świateł stopu.

- No i co z tego? Gdyby pan patrzył przed siebie, to by pan widział. Musiałam skręcić, bo na szosę wyskoczył królik... Jezu! Pirat! - krzyknęła i czym prędzej pobiegła do samochodu.

- Pirat?! - oburzył się nieznajomy. Gypsy otworzyła drzwi swojej Daisy i wyciągnęła ze środka sporych rozmiarów futrzany, jasnopłowy toból. Wróciła, niosąc go oburącz z wyraźnym wysiłkiem. Oburzenie mężczyzny przerodziło się w zdumienie: futrzany toból okazał się być dużym - wielkim nawet - himalajskim kotem. Zwierzę miało łeb, łapy i ogon czekoladowobrązowe, mordkę zaś skrzywioną z takim niesmakiem, że można by było sądzić, iż przyszło na świat wyłącznie po to, by się wiecznie dąsać.

- Proszę, no proszę, niechże pan spojrzy - fuknęła Gypsy.
- Nie tylko dobił pan staruszkę Daisy, ale o mały włos nie przyprawił Pirata o atak serca!

Mężczyzna pomyślał, że jedynie trzęsienie ziemi mogłoby zrobić na Piracie wrażenie. Już chciał to powiedzieć, ale rozmyślił się. Nie miał ochoty na jałową i niezbyt mądrą dyskusję.

- Proszę mnie posłuchać... - zaczął zdecydowanie, lecz dziewczyna przerwała mu natychmiast, powtarzając uparcie:

- To pańska, wyłącznie pańska wina!

- Bardzo pani zależy, żeby mi to udowodnić, prawda?

Nagle powstało w nim jakieś niejasne podejrzenie. Zmrużył swe zielone oczy.

- Założę się, że pani nawet... Proszę mi powiedzieć, ile pani ma właściwie lat?

Gypsy wyprostowała się. Cóż tu ukrywać - raczej nie należała do osób szczególnie wysokich. Spojrzała wyniośle.

- Cóż to, pyta pan kobietę o wiek? I to ma być grzeczność?

- Owszem! Taka sama jak pani! - odciął się zirytowany.

Nowa burza wisiała w powietrzu. Przez chwilę oboje mierzyli się wzrokiem. Gypsy pierwsza spuściła z tonu. Jej twarz wypogodziła się, na delikatnych wargach zagościł nieśmiały uśmiech.

- Biedna Daisy - mruknęła.

Słyszając to, mężczyzna odetchnął z ulgą. Cofnął się o pół kroku, wziął się pod boki i uśmiechnął przyjaźnie. Lodowata uprzejmość i ton wymówki, z jakim przez cały czas rozmawiali, przysły w jednej chwili.

- A może zaczniemy od początku? - powiedział pojednawczo. - Jestem Chase Mitchell.

- Gypsy Taylor - odparła z powagą.

- Gypsy? O, to mnie nawet nie dziwi. Ta nieposkromiona natura...

- Cóż, nic na to nie poradzę - powiedziała z żartobliwą rezygnacją. Szybko jej wracał dobry humor.

- Jakżeż ja dojadę do domu? Bez pomocy mechanika Daisy nie ruszy się stąd ani na krok...

- Zabiorę panią. Przecież i tak musimy dojść do porozumienia w kwestii odszkodowania - uważnie, nie kryjąc

niezadowolenia obejrzał wgnieciony zderzak swego mercedesa. - Oczywiście jest pani ubezpieczona...?

Gypsy zdawała sobie sprawę, że brak świateł stopu czynił i ją częściowo odpowiedzialną.

- Oczywiście, że jestem - wypaliła bez zastanowienia. Po chwili jednak, z mniejszą już pewnością, dodała:

- No, tak mi się przynajmniej wydaje...

- Tak się pani wydaje?

- Wie pan... ja bardzo dużo podróżuję, stale jestem w drodze... I czasem poczta z urzędu ubezpieczeniowego nagle gdzieś się zapodziwia - urwała, zrozumiałwszy, że znów zbierają się nad nią czarne chmury. Owszem, Gypsy czasem lubiła się podroczyć, ale nie była przecież aż tak niemądra. Dodała więc szybko:

- Ale tym razem jestem raczej pewna. Tak, na pewno jestem ubezpieczona.

- To dobrze - powiedział krótko.

Teraz on się jej przyglądał, równie badawczo jak ona jemu przed kilkoma minutami. Była drobnej postury, ciemnowłosa i bez wątpienia bardzo młoda. Miała piękną, ujmującą twarz i duże, rozmarzone, brązowe oczy.

- Hmm, w pierwszej chwili sądziłem, że ma pani jakieś... piętnaście lat - mruknął pod nosem, jakby rozmawiał sam ze sobą. - Ale po namyśle przyznaję, że się myliłem.

- Jeszcze jak! - Gypsy wcale się nie zdziwiła. Przyzwyczała się już do takich rozmów. - Pomylił się pan, drobnostka, o trzynaście lat. Mam lat dwadzieścia osiem. - Zamrugła szybko oczami. - No proszę, co za chytry podstęp. W ten sposób jednak udało się panu wszystkiego dowiedzieć.

Chase uśmiechnął się szeroko. W jego pięknych, zielonych oczach Gypsy wyczytała zadowolenie, ale i sympatię.

- Cóż, musiałem to zrobić w ten czy w inny sposób. - I zanim zdążyła spytać, dlaczego musiał, dorzucił szybko:

- Proszę do środka. Podwiozę panią do domu.

Gypsy do tego stopnia ufała swej intuicji co do ludzkich charakterów, że bez obawy wsiadła do samochodu człowieka, którego poznała zaledwie kilka minut temu. Bo czyż ten mężczyzna mógłby zrobić jej krzywdę? Westchnęła tylko i pożegnała spojrzeniem osamotnioną Daisy. Obeszła szeroką maskę mercedesa i usiadła na komfortowym, obitym zamszem siedzeniu. Ale po namyśle wróciła jeszcze do swojej staruszki i wyjęła kluczyki ze stacyjki.

- Jest pani pewna, że nie trzeba zamknąć drzwi?

- Nie ma potrzeby - uśmiechnęła się, sadowiac się na powrót obok przystojnego szofera. - Daisy nie ujedzie nawet pół metra.

- Jak pani uważa. Którędy jedziemy?

- Proszę się trzymać tej żółtej drogi - wskazała przed siebie.

Droga pięła się łagodnie pod górę. Nie ujechali jednak daleko, a Chase poczuł na sobie uporczywe spojrzenie. Zerknął w bok. Napotkał wzrok kota.

Nie miał wielkiego doświadczenia z kotami. W dzieciństwie nabawił się alergii na ich sierść, z której w późniejszych czasach została mu jeśli nie niechęć, to przynajmniej pełna rezerwy obojętność. Ale oczy tego kota patrzyły jakoś szczególnie. Było w nich coś świdrującego, coś bezlitośnie i na wylot przeszywającego. Tak potrafią patrzeć tylko koty i wielbłądy. Chase poczuł się nieswojo.

- Pani kot mnie nie lubi - powiedział, obserwując uważnie krętą, trudną drogę.

Zaskoczona, spojrzała na niego, a potem na zwinięte na jej kolanach zwierzę. Kot pielęgnował w spokoju swą brązową łapę.

- E tam, zdaje się panu. Pirat wszystkich lubi.

Chase znów zerknął na zwierzę - i aż go ciarki przeszły.

- No to dlaczego tak mi się przygląda?

Gypsy spojrzała na kota. Wydawał się bardzo zajęty i niczego nieświadomy.

- Wcale się nie przygląda - powiedziała z lekkim zniecierpliwieniem. - Liże łapkę. Chase nie odważył się znowu spojrzeć. Oczywiście Pirata hipnotyzowały go.

- Zresztą mniejsza. Proszę mi powiedzieć, panno Taylor...

- Po prostu: Gypsy - przerwała mu.

- Proszę bardzo, ale pod warunkiem, że i ja będę miał ten honor.

- Świetnie. Nie znoszę tych wszystkich ugrzecznień.

- A więc, Gypsy, gdzie dokładnie mieszkasz? Bo tak się składa, że znam tę drogę i wiem, że kończy się jakąś milę czy dwie stąd. Stoją tam dwa domy...

- Tak. Jeden z nich jest mój - znów mu przerwała.

- Twój? - spytał Chase, lekko zaskoczony.

- To znaczy... mieszkam w nim na razie - wyjaśniła niespiesznie, pochłonięta wyglądaniem przez okno. Jakżeż miło było patrzeć na Pacyfik! - Właściciele przenieśli się na pół roku do Europy. Zostały mi jeszcze cztery miesiące.

- Rozumiem.

Zabrzmiało to jakoś dziwnie. Gypsy poczuła się dotknięta.

- Posłuchaj, mylisz się, osądzając mnie na podstawie ubrania. Włożyłam te ciuchy tylko dlatego, że musiałam zawieźć Pirata do weterynarza.

- Ach tak. A pacyfa?

Niezbyt uważnie jej słuchał. Gypsy zastanawiała się, dlaczego.

- To tylko prezent od moich przyjaciół. Coś w rodzaju... żartu - wyjaśniła, uważnie przyglądając się swemu nowemu znajomemu. Wyglądał jak chłopiec, który w ciemnym pokoju

zmacał coś ręką i nie bardzo wie, co to jest. Dziwne. Już miała wy badać, co go gryzie - nie należała bowiem do przesadnie nieśmiałych - kiedy Chase znów się odezwał.

- Mieszkaś gdzieś w okolicy? To znaczy, kiedy nie pilnujesz domu...?

- Nie. Mieszkam zawsze w domu, którego akurat pilnuję. Przedtem mieszkałam przez trzy miesiące na Florydzie, a jeszcze przedtem w Nowej Anglii. Lubię swobodę i częste zmiany miejsca.

- Aha.

- Domyślam się, że nie jest to twój styl życia? - uśmiechnęła się ironicznie.

- Rzeczywiście nie - odpowiedział. I nagle spytał z brutalną otwartością:

- Mieszkaś sama?

Gypsy pomyślała, że nie powinna mu jednak mówić wszystkiego. Samotna dziewczyna musi utrzymywać rozsądny dystans w stosunkach z nieznanymi. A z drugiej strony, sądząc z ogólnego wrażenia, ten facet absolutnie nie mógł być gwałcicielem czy rabusem.

- Nie. Przeważnie jest ze mną gospodyni. Ale akurat teraz wyjechała do krewnych, więc jestem sama. A właściwie to czemu pytasz?

- Tak tylko - spojrzał na nią. - Nie nosisz pierścionka. Chociaż, czy ja wiem...? W dzisiejszych czasach pytanie kobiety o to, czy jest samotna, nie wyklucza automatycznie szans na... przyjaźń.

Gypsy zerknęła na Chase'a z ciekawością. Sama przed sobą nie chciała przyznać, że serce zabiło jej żywiej. Prawdę mówiąc, pytania te nieco ją żenowały. Nie bardzo wiedziała, do czego zmierzał. Mężczyzna tak przystojny jak Chase Mitchell... Nie, powiedziała sobie z mocą, nie! Nic ją nie obchodzi. Znalazła się teraz na życiowym zakręcie i

jakikolwiek mężczyzna oznaczać mógł dla niej tylko same kłopoty. A ona nie potrzebowała kłopotów.

Jakikolwiek - a zwłaszcza ten. Nic ich nie łączyło, byli zupełnie do siebie niepodobni. Chase Mitchell nigdy nie przystałby na jej sposób na życie - dość szczególny sposób, musiała przyznać.

Zmarszczyła brwi, wyrzucając sobie w duchu, że się w ogóle nad tym zastanawia. Przecież zwykła była ucinać tego typu męskie manewry twardym i zdecydowanym „nie”. To było najprostsze i najlepsze, pozwalało uniknąć późniejszych nieporozumień i wzajemnych pretensji.

Z zamyślenia wyrwał ją miękki głos Chase'a:

- Oczywiście myślę o takiej przyjaźni, które nie oznacza... hmm, wspólnego życia. „Doprawdy?” - pomyślała Gypsy.

- Obawiam się, że życie ze mną byłoby bardzo trudne. Kocham włóczęgę - powiedziała.

- Wiesz, są mężczyźni, którzy uważają koszt podróży za stosunkowo niską cenę. I skłonni są ją płacić. Zabrzmiało to jak komplement; Gypsy w każdym razie przyznała, że sprawił jej przyjemność. Ale nie

pytała, czy zrobił to celowo. Nigdy nie wiadomo, co się złapie na tak zarzuconą wędkę. Szybko znalazła temat bardziej bezpieczny.

- A ty? Mieszkasz gdzieś w pobliżu?

Kiwnął głową, ale nie patrzył na nią. Droga była w dalszym ciągu kręta i trudna, choć oddalili się już od krawędzi skalnego urwiska. Drzewa po lewej stronie zasłaniały ocean.

- Przez całe życie mieszkałem na Zachodnim Wybrzeżu - powiedział. - No, z wyjątkiem lat szkolnych.

- Masz ładny samochód.

- Miałem.

Drgnęła i zerknęła na niego spode łba. Znowu poczuła złość. Zdawało się jej, że ją lekceważy.

- Dobrze, miałeś. Ale posłuchaj mnie: nie chciałam zniszczyć tego twojego cacka. A skoro już przy tym jesteśmy, to i ty nie zostawiłeś Daisy w najlepszym zdrowiu.

Chase najwyraźniej nie przejął się tą wymówką. Powiedział ze spokojem:

- Gdybym był na twoim miejscu, postarałbym się o nowy wóz.

- Ale nie jesteś na moim miejscu. Daisy nie jest takim sobie zwykłym wozem. Mam ją od chwili, kiedy skończyłam siedemnaście lat. Ona jest moim szczęśliwym duchem.

- Może. Ale sądząc z ilości łąt na karoserii - odparł Chase - ona sama nie miała zbyt wiele szczęścia. Gypsy nie odważyła się polemizować. Znała siebie i doskonale wiedziała, że wypadki drogowe

prześladują ją bez przerwy. Na szczęście w tym momencie pnąca się pod górę droga wyprowadziła ich na płaski teren; zaraz też ujrzeli stojący niedaleko dom. Gypsy wskazała nań w milczeniu i Chase zwolnił, by skrócić w dróżkę wiodącą na podjazd.

Dom, w którym Gypsy miała mieszkać przez najbliższe cztery miesiące, zaprojektowany był nowocześnie: dużo wielkich, przeszklonych płaszczyzn i luksusowe wykończenie szlachetnymi gatunkami drewna. Ładnie wyglądał wśród wysokich drzew; z tarasu roztaczał się wspaniały widok na bezkresny przestwór Pacyfiku. Przy tym wszystkim jednak - był w opłakanym stanie.

Drugi dom, stojący opodal, choć nieco mniejszy, był za to bez porównania ładniejszy. Jego architektura była także nowoczesna, a zharmonizowanie z otoczeniem wystawiało architektowi - bez wątpienia idącemu w ślady Le Corbusiera - bardzo pochlebne świadectwo. Gypsy niezbyt lubiła nowoczesne domy, ale ten był naprawdę wyjątkowy. Kiedy mercedes Chase'a wtoczył się na teren jej posesji, po raz setny

zadała sobie pytanie, kto też tam może mieszkać. Bo dotąd jeszcze nie widziała właściciela. Co dzień rano przychodził natomiast ogrodnik, który pielęgnował drzewa i przycinał krzewy.

Chase zatrzymał wóz. Gypsy sięgnęła do klamki.

- Może wejdiesz do środka? Obawiam się, że trochę potrwa, zanim znajdę tę kartę ubezpieczeniową. Kiwnął głową. Gdy wysiadał, spostrzegł ustawioną za garażem przyczepę, ale bez samochodu.

- A to co? - wskazał palcem.

- To mój wóz drabiniasty - odparła ze śmiechem. Wcale się mu nie dziwiła: stan przyczepy jaskrawo odbijał nawet od tak bardzo zaniedbanego domu, jak ten. - Nie jest tak źle, jak sądzisz. Kiedy się przeprowadzam, mieści się w nim wszystko, co mam. Pirat oczywiście podróżuje w przedziale osobowym, to znaczy ze mną w samochodzie.

Chase zerknął na kota nieprzyjaźnie.

- Mylisz się. One nigdy nie są z nikim. Zawsze i bez reszty pogrążone są tylko w sobie.

Weszli razem na ganek. Gypsy otworzyła kluczem frontowe, ciężkie drzwi. Chase przepuścił ją pierwszą. Kiedy wchodziła do środka, mruknęła pod nosem:

- Chyba powinnam cię teraz ostrzec.

- Ostrzec? Mnie? A przed... - lecz nawet nie zdążył dokończyć. Tuż za drzwiami przygwoździły go do ściany dwa potężne łapska. Przed sobą ujrzał nagle białe - czarne łeb, prezentujący w szerokim uśmiechu imponujący garnitur zębów.

Gypsy, trzymając w ramionach niewzruszonego Pirata, spokojnie obserwowała zamarłą twarz Chase'a.

- Proszę, panowie, poznajcie się. To jest Bucefał - przedstawiła psisko. - Nosi imię po koniu Aleksandra Wielkiego.

- Wyjątkowo odpowiednie imię - Chase starał się nie ruszać i mówić spokojnie i cicho. - Jeśli można, mam dwa pytania. Czy to twój pies?

- Nie. Należy do Robbinsów, właścicieli domu. Drugie pytanie?

- Gryzie?

- Nie, oczywiście, że nie - powiedziała ze śmiechem. - Chyba że takich, którzy rozbijają cudze samochody. Dla nich skłonny byłby zrobić wyjątek.

- Bardzo zabawne. A teraz czy nie masz nic przeciw temu, żeby on ze mnie zlął?

- Bucefał! Przestań!

Olbrzymi pies posłuchał natychmiast. Stojąc na czterech łapach, wyglądał znacznie bardziej przyjaźnie. Machał z zapalem ogonem i wyciągał pysk do Gypsy. Gorącym liźnięciem wielkiego i szorstkiego jak ręcznik języka powitał też Pirata. Kot zniósł to ze stoickim spokojem, cierpiąc w milczeniu.

Chase ostrożnie zamknął drzwi. Nie spuszczał psa z oka.

- Masz jeszcze dla mnie jakieś niespodzianki? - spytał ponuro.

- Nie, nie. Proszę, tędy - wskazała drogę. Przez wyłożony dywanem hol przeszli do pokoju. Gypsy posadziła Pirata na kanapie, po czym podeszła do stojącej w kącie i sięgającej aż do sufitu szafy z książkami. Stała przed nią, przygryzając wargę. Prawdę powiedziawszy nie miała pojęcia, gdzie szukać karty ubezpieczeniowej.

Chase zbliżył się. Rozglądał się ciekawie dookoła: zavalona książkami szafa, wielkie, drewniane biurko - ciężkie, masywne, rzeźbione, na pewno liczące ponad pół wieku. Na biurku pełno papierów, stosy zamkniętych i otwartych słowników z pozaginаныmi kartkami, luźne arkusze

kalki maszynowej. A pośrodku tego wszystkiego mała, oblaźła z lakieru maszyna do pisania.

- Aha - mruknął domyślnie. - Tu jest twój kącik.

- A tak - Gypsy nie zwracała nań uwagi.

Chase przesunął się trochę bliżej półki; cały czas pamiętał o obecności psa. Chciał zerknąć na książki. Powiódł palcem po grzbietach: płóciennych, z lakierowanego papieru, a nawet kilku skórzanych.

- Boże. Nigdy w życiu nie widziałem na raz tylu książek z zakresu kryminologii. Nie powiesz mi chyba, że pracujesz w policji?

Gypsy usiłowała sobie przypomnieć, gdzie widziała tę cholerną kartę. Bezskutecznie.

- Nie. Zajmuję się morderstwami - odparła, a kiedy dotarło do niej, że aż zaniemówił z wrażenia, wyjaśniła: - Fascynuje mnie proces umierania. Sposoby zadawania śmierci. Piszę o tym.

- Co? Ty piszesz o zabijaniu?

- Spokojnie. Na twoim miejscu nie śmiałabym się. Znam dziewięćdziesiąt osiem sposobów uśmiercania, a wszystkie są pewne i niezawodne, a co gorsza - bardzo bolesne.

Chase milczał. Po chwili odezwał się z udawanym strachem w głosie:

- Czy twoje ofiary... gubią karty ubezpieczenia drogowego?

- Moje ofiary niechybnie umierają, więc i tak jest im wszystko jedno. Cholera. Nie ma jej tutaj. Chase zmarszczył brwi i nagle wykrzyknął:

- Tak! Mam! Już wiem, skąd znam twoje imię. Czytałem twoje książki!

- Naprawdę? I co, podobały się?

- O tak, są wspaniałe! - zawołał z przejęciem. Naprawdę je cenił. - Czyta się je od deski do deski, dosłownie jednym tchem!

Gypsy, słysząc tak entuzjastyczną ocenę, zmieszana się. Sprawił jej wielką przyjemność; nie mogła się powstrzymać od uśmiechu zadowolenia. By go ukryć, pochyliła się nad biurkiem i zaczęła przewracać papiery.

- Jeśli chcesz mi powiedzieć, że nie wyglądam na pisarkę - ostrzegła - to daj sobie lepiej spokój. Słyszałam to już setki razy. Swoją drogą ciekawe, jak powinien wyglądać pisarz. Skąd ludzie to wiedzą?

Chase podszedł do Gypsy i przyglądał się jej poszukiwaniom. Były w dalszym ciągu bezowocne.

- Jest tu gdzieś. Musi być.

- Dobrze, nie pali się przecież. Nie poczęstowałaabyś mnie filiżanką kawy?

- Dzisiaj nie wtorek.

- Co takiego? Nie rozumiem.

- To proste. Przyjmuję gości we wtorek. Wtorek jest jour fixe.

- A dzisiaj? Dlaczego nie dzisiaj?

- Och, długo by mówić.

- Daj spokój. Mogłabyś choć raz odpowiedzieć normalnie. Gypsy przyciągnęła sobie obrotowy fotel, usiadła i zaczęła przetrząsać środkową szufladę.

- No dobrze. Kiedy byłam małą dziewczynką, przepadałam wprost za mrożoną herbata. Moja mama doszła do wniosku, że to niezbyt zdrowe i że powinnam też pić inne napoje, na przykład mleko. Brr, nie znoszę mleka! - wzdrygnęła się.

- No, w każdym razie - ciągnęła po chwili - mama wyznaczyła mi na każdy dzień tygodnia inny napój. To gwarantowało pożądaną różnorodność. A gdy już podrosłam

na tyle, by móc pić kawę, mogłam to robić jedynie we wtorek. I tak to już zostało. Widzisz, dzisiaj nie jest wtorek.

Chase z niedowierzaniem kręcił głową.

- Kiedy się do czegoś przyzwyczaisz, to zostaje ci to już do śmierci, co?

- Tak jest.

- No dobrze, w takim razie jaki napój przypada na dziś?

- Piątek - a więc wino. Albo coś w tym rodzaju - w oczach Gypsy zapaliły się wesołe iskierki. - Mama nic o tym nie wie. Papa powiedział mi kiedyś, żebym zostawiła sobie jeden dzień tygodnia w zapasie, bo być może będę go potrzebowała, kiedy już dorosnę. Wybrałam piątek. Kochany papa! Miał rację, oj miał! Uwielbiam wino.

- Hmm, muszę przyznać, że masz... interesujących rodziców - mruknął Chase.

- O tak. - Nagle zaskoczyła go pytaniem: - Słuchaj, z czego ty właściwie żyjesz? Zmieszał się, ale tylko na chwilę. Odpowiedział czym prędzej:

- Sprzedaję buty.

Gypsy zmrużyła oczy. Na kilometr czuła, że buja.

- Jeśli ty jesteś sprzedawcą, to zaraz chyba zjem mój rękopis. Na surowo, strona po stronie.

- W porządku. Jestem architektem.

- Aaa, to co innego. W to jestem skłonna uwierzyć. Pracujesz indywidualnie czy w przedsiębiorstwie budowlanym?

- W przedsiębiorstwie. Mimo to zdarzyło mi się osobiście zaprojektować kilka domów dla prywatnych zleceniodawców.

- No to jak z tym winem? Masz ochotę? - znów raptownie zmieniła temat.

Ta dziewczyna była jak żywe srebro. Chase poczuł się bezradny, niczym kawałek drzewa balsa, który rwący prąd unosi z dala od brzegu.

- Z przyjemnością. Dziękuję - powiedział, zupełnie już zbity z tropu. Gypsy zmarszczyła brwi.

- Tak, ale powinnam najpierw sprawdzić, czy w ogóle mam wino. Wstała i poszła do kuchni. Wychodząc, rzuciła przez ramię:

- Bądź tak dobry i poszukaj jeszcze raz w szufladzie, dobrze? Może przeoczyłam. Cóż miał robić? Westchnął, wzruszył ramionami i, chcąc nie chcąc, zajął jej miejsce.

Do jej powrotu zdążył przetrząsnąć trzy przepastne szuflady. Gypsy przyniosła dwa kieliszki białego wina. Podała mu jeden. - I co?

- Nic. Zachodzę w głowę, jak ktoś żyjący w tak potwornym bałaganie może napisać książkę o akcji skomplikowanej poddanej rygorom żelaznej logiki.

- A wiesz, nie mam pojęcia. Może to po prostu szczęśliwy traf? Oparła się o biurko. Chase przyjrzał się jej uważnie.

- Ach tak? Szczęśliwy traf? - Podniósł kieliszek i spełnił toast. Lecz z wyrazu twarzy sądząc, nie pił do Gypsy, ale raczej do pewnej świtającej mu właśnie myśli. Westchnął.

- Coś mi się zdaje, że tej nieszczęsnej karty poszukasz wieczorem, kiedy odwiozę cię z powrotem.

- Odwiesz mnie? A po czym?

- Po kolacji.

Rozdział 2

- Po kolacji? - Gypsy oparła się łokciem o stareńką maszynę do pisania. Zapraszał ją wprawdzie, lecz na własne uszy mogła się przekonać, że nie pałał zbytnim entuzjazmem. Chciało jej się śmiać. - Ale tak naprawdę to ci się nie chce, co?

- Nie - przyznał. A po chwili dodał tajemniczo: - Hmm, zawsze uważałem się za inteligentnego faceta...

O co mu chodzi? Nic z tego nie rozumiała.

- Słuchaj, jeśli czujesz się winny z powodu Daisy... - zaczęła, ale Chase nie dał jej skończyć.

- Nie, nie czuję się winny. Ten wypadek powstał bardziej z twojej niż z mojej winy. Ale zapraszanie kobiet na kolację nie jest dla mnie rzeczą najzwyczajniejszą w świecie. Więc jak. Chcesz iść czy nie?

Gypsy wolno sączyła wino. Musiała się poważnie zastanowić. Wahala się.

- Rozumiem. Ale czemu właściwie mnie zapraszasz?

- O, nie ma w tym nic niezwykłego. Po prostu dla towarzystwa. Towarzystwa pięknej kobiety. Nie przepadam za samotnymi posiłkami. A poza tym - uśmiechnął się - myślę, że trzeba by wreszcie bliżej poznać moją sąsiadkę.

Gypsy zatrzepotała rzęsami.

- Chcesz powiedzieć, że mieszkasz...? - wskazała ręką za siebie. - O! I nie było cię w domu przez dwa miesiące!

- Tak. Siedziałem po drugiej stronie Stanów. Przygotowuję tam projekt.

- A Bucefał? Znałbyś go przecież.

- Wcale nie muszę. Ledwie znam się z Robbinsami. Nigdy w życiu nie widziałem tego psa. Przez cały czas musieli go trzymać w domu. Idziesz czy nie idziesz?

Ciągle się wahala. Coś ja powstrzymywało, sama nie wiedziała, co.

- Chase - szukała odpowiednich słów. Wcale nie było jej łatwo. - Jeśli szukasz towarzystwa przy stole, to w porządku. Jeśli chcesz mieć znajomą sąsiadkę, od której będziesz mógł pożyczyć szklanek cukru, to też w porządku. Ale jeśli coś ponadto, to nie mogę się zgodzić. Nie chcę się w nic angażować.

- Rozumiem. - Odstawił swój a następnie i jej kieliszek. - To ciekawe, co mówisz.

- Co takiego?

- A to, że moglibyśmy... do siebie się zbliżyć. Czy Bucefał stanąłby w twojej obronie?

- Myślę, że tak. Gdybym na przykład krzyknęła...

- To nie krzycz - Chase podniósł się z fotela i wziął ją w ramiona.

- Co ty ro... - zaprotestowała słabo Gypsy, ale nie dał jej skończyć.

- Spokojnie. To tylko mały eksperyment. Przekonamy się, czy rzeczywiście możemy wyrzucić na siebie wrażenie - powiedział i... pocałował ją.

Już od pierwszej chwili Gypsy zdała sobie sprawę, że będzie miała kłopoty. Ogromne kłopoty. Od stóp do głów przebiegł ją gwałtowny dreszcz. Nie spodziewała się tego, nie była przygotowana. To było niebezpiecznie słodkie. Co gorsza, nie miała pojęcia, jak sobie z tym poradzić.

Zakreśliło się jej w głowie, kolana zrobiły się miękkie jak z waty. Nie wiedziała, co się z nią dzieje. Ręce same powędrowały do góry i objęły Chase'a za szyję. Rozchyliła posłusznie usta - i kompletnie już straciła głowę. Czowała go przy sobie, tak blisko! Czowała, że pragnie go tak samo, jak on jej - i nic więcej nie liczy się na świecie!

„Przerwać, natychmiast to przerwać!” - myślała leniwie, z rozkoszą poddając się pocałunkom. Nie miała nawet siły by

podnieść ciężkie powieki, a co dopiero wyrwać się z ramion tego mężczyzny...

Wreszcie Chase ją puścił. Gypsy brakowało tchu. Trudno jej było ustać, musiała się złapać biurka. Twarde, solidne drewno. Zbawcza konkretność przedmiotu. Nareszcie powrót do rzeczywistości.

Stała zapatrzona, nieprzytomna. Z trudem zdała sobie sprawę, że oddech Chase'a stał się szybki, a jego zielone oczy zaszklily się silnym wzruszeniem - dokładnie takim samym jak jej.

Chase sięgnął po swój kieliszek i wychylił go, poświęcając tej prostej czynności mnóstwo czasu i uwagi. Zamyślił się.

- Do diabła z gołą przyjaźnią - mruknął pod nosem.

Gypsy potrząsnęła głową. Usiłowała protestować, za wszelką cenę nie dopuścić do...

- Chciałem tego - zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, już jej przerwał. - Zrobiłem to świadomie. Zapragnąłem twoich ust, kiedy mówiłaś mi o wtorkowej kawie.

- Nie, Chase, nie - wyszeptała Gypsy. - Nie chcę się w nic mieszać.

- Za późno.

Kurczowo wbiła palce w twarde blaty biurka. Czowała, że coś się w niej chwieje. W głębi ducha wiedziała, że miał rację. Zrobiła wszystko, by odczucie to zignorować.

- Za późno - powtórzył Chase. - Czuję to, wiem to na pewno. Nie wiem jak ty, ale ja nie mam w sobie tyle siły, żeby się temu oprzeć - wyznał.

Gypsy zamknęła oczy. Drżały jej usta. Spróbowała raz jeszcze: - Nie. Nie chcę się w nic mieszać. Zielone oczy Chase'a w zamyśleniu błędziły po twarzy dziewczyny, ustach, oczach, włosach.

- Hmm. Zdaje się, że to nie chodzi o mnie, mam rację? Proszę, powiedz mi, co cię powstrzymuje. Po raz pierwszy od dwóch miesięcy Gypsy poczuła, że w ciasnym kąciку pomiędzy biblioteką

a biurkiem po prostu się dusi. Puściła blat biurka i wyszła na środek pokoju. Zatoczyła się jak pijana i bez sił opadła na krzesło. Chase poszedł za nią. Czowała, że chce jej coś powiedzieć i że to będzie bardzo niebezpieczne.

- Gypsy...

- Chase - przerwała mu czym prędzej - ja... Cholera! - Trudno jej było mówić. - Chase. Ja jeszcze nigdy nie miałam mężczyzny.

- Nigdy nie...? - powtórzył za nią z niedowierzaniem.

- Nigdy.

- Czemu?

Nagle, dla niej samej nieoczekiwanie, parsknęła śmiechem. Ulżyło jej natychmiast.

- Zabawny jesteś. Dziewczyna zwykle tłumaczy się z powodów, dla których to zrobiła.

- Ale czasy się zmieniają.

- Słusznie. No cóż, większość mego życia spędziłam w podróży, a to nie są najlepsze warunki do nawiązywania jakichś trwalszych związków. A wakacyjne romanse i szybkie łóżeczka po drodze zupełnie mnie nie interesują. Nie, nie, tu nie chodzi o moralność... tu chodzi o mnie. Bo chociaż żyję jak Cyganka, w głębi duszy jestem domatorką. Hmm... a jednocześnie nie chcę wychodzić za mąż.

Chase ciężko usiadł na krześle obok.

- Dla mnie - ciągnęła Gypsy - możliwy do przyjęcia byłby jedynie trwały związek z mężczyzną. To właściwie to samo, co małżeństwo. Ważne jest przecież to, co istnieje faktycznie, a nie sam akt ślubu. Ale na razie... nie chcę wychodzić za mąż. Jeszcze nie teraz. I dlatego nie chcę się w nic angażować.

Chase długo patrzył na dziewczynę, wreszcie milcząc skinął głową. Zrozumiał. Poczula wielką ulgę - a jednocześnie jakiś trudny do określenia zawód. Pod wpływem tych sprzecznych uczuć zmieszała się i zarumieniła. Co się z nią u licha dzieje? Ma przed sobą pracę nad ledwie rozpoczętą książką? O tym powinna myśleć. Przede wszystkim o tym.

- Nie odpowiedziałas mi.

- Co? - próbowała czytać w jego nieprzeniknionych oczach. - A, kolacja? Słuchaj, Chase, ja... nie mogę. Muszę się wziąć do pracy. Najpierw uporządkuję notatki...

- Daj spokój. Przecież musisz jeść.

- Ależ ja jem - uśmiechnęła się słabo. - Gdybyś przyjrzał się mojej maszynie, zobaczyłbyś, że pełno w niej okruchów. Ja po prostu jadam przy pisaniu.

- Zobaczysz, że nabawisz się od tego wrzodów żołądka.

Wzruszyła ramionami. A jednak czuła niepokój z powodu tych kłamstw. Co tam - mówiła sobie - małe, zgrabne kłamstewko nikomu nie zaszkodzi. Naprawdę jest zajęta... no, może nie aż tak bardzo. Boże, co się z nią dzieje, co się dzieje? Musi sobie wszystko dobrze przemyśleć.

Postanowiła zmienić temat.

- Czy to ty projektowałeś swój dom?

Chase nawet okiem nie mrugnął. Przywykł już do tak nagłych zwrotów.

- Tak. Podoba ci się?

- O, jest bardzo piękny. Nigdy nie widziałam piękniejszego domu. Projektowałeś dla siebie czy zostawiłeś go sobie po wybudowaniu?

- W każdym razie jest mój. Teraz pewnie pomówimy o kapuście i królach średniowiecznej Danii. Gypsy westchnęła. Nie będzie łatwo opędzić się od tego mężczyzny. Zniechęcała go jak mogła, lecz

Chase był zbyt giętki i sprytny. I uczył się szybko. Znalazł sposób, by nie dać się zbić z tropu.

- Nie rozumiem.

- Rozumiesz. Umiesz gotować?

Ano właśnie. Był to najlepszy przykład na to, że potrafił pobić ją jej własną bronią. A niech go! Gypsy zrezygnowała, przynajmniej na razie.

- Nie. Nie umiem także szyć i nie znoszę zmywania naczyń. Miała nadzieję, że chociaż to go zniechęci. Zawiodła się.

- Trudno, nikt nie jest doskonały. A jaka jest twoja ulubiona potrawa?

- Spaghetti.

- O, spaghetti to moja specjalność. O której godzinie się spotkamy?

Okrecał ją sobie dookoła palca, wodził ją za nos. Do licha, gdzie się podział jej dowcip? Pomyślała, że to z powodu kieliszka wina... lub raczej pocałunku. A może obu tych rzeczy naraz?

- Słuchaj, mówiłam ci już, muszę trochę popracować.

- Ale i musisz coś jeść. Nie martw się, to ja będę gotował.

U mnie czy u ciebie?

- No dobrze, u mnie. Naprawdę umiesz gotować?

- Cóż, w liceum wojskowym uczą między innymi tego - powoli odparł Chase. Najwyraźniej myślał już o czymś innym.

- Uczyłeś się w liceum wojskowym?

- Ja się tam wychowałem. - Gypsy słuchała z rosnącym zainteresowaniem. - Ojciec spodziewał się, że pójdę do West Point. Ale ja miałem inne plany.

- No i co. Bardzo się... zmartwił? - spytała ostrożnie. Chase wzruszył ramionami.

- Powiedzmy, że nie był zachwycony. Oświadczyłem mu, że mam zamiar odbić sobie wszystkie samotne dni i wojskowy rygor.

- Och, biedny mały chłopiec! - wyrwało się jej. Chase rozpromienił się, jego oczy błysnęły zaczepnie.

- Uważaj! Gdybym nie miał skrupułów, z pewnością wykorzystałbym ten odruch litości - powiedział wesoło. - No, prawdę mówiąc, z tą samotnością i drylem to bujda. W szkole nie nudziłem się, nauczyciele byli znośni, miałem masę przyjaciół. Ojciec odwiedzał mnie bardzo często. A w ferie i wakacje zabierał mnie ze szkoły i razem podróżowaliśmy. Już w wieku dwunastu lat objechałem cały świat wzdłuż i wszerz. Mimo to nie powiem, żebym miał szczęśliwe dzieciństwo. Matka umarła, kiedy miałem pięć lat.

Nie mogłem być przez cały czas z ojcem, bo skoro tylko dostawał akredytację w jakimś kraju, zaraz wybuchła tam rewolucja. Większość czasu musiałem spędzać w szkole z internatem. To tam nauczyłem się gotować spaghetti. Teraz już wiesz? Gypsy kiwnęła głową.

- Przepraszam, jeśli sprawiłam ci przykrość.

- Wcale nie. Cieszę się, że mogłem ci o tym opowiedzieć. Dziś wieczór to ja będę słuchał historii twojego życia - roześmiał się. Usiłowała protestować, lecz powstrzymał ją gestem dłoni. - Nie, nie. Musi być sprawiedliwie. Ja muszę, po prostu muszę dowiedzieć się czegoś więcej o twoich rodzicach. O której się spotkamy?

Przez długą chwilę wpatrywała się w jego miłą twarz. Pomyślała, że doprawdy zbyt szybko to wszystko się rozwija.

- O siódmej.

- Dobrze. A więc przyjdę tu około szóstej i przyniosę ze sobą wszystko, co nam będzie potrzebne. - Podniósł się z krzesła, a kiedy chciała wstać, by go odprowadzić, powstrzymał ją: - Nie, nie, dziękuję. Znam drogę. No to na

razie. Aha, poszukaj jednak tej karty ubezpieczeniowej, dobrze?

Wyszedł. Gypsy odprowadziła go wzrokiem. Siedziała przez chwilę zamyślona. Nagle ogarnęła ją panika. Przypomniała sobie jego słowa: „Nie wiem jak ty, ale ja nie mam w sobie tyle siły, żeby się temu oprzeć”.

Wróciła myślą do pocałunku. O Boże, to nie był pocałunek, to wybuch wulkanu! Nigdy w życiu nie doznała czegoś podobnego. Tych kilka krótkich chwil było jakimś szaleństwem. A i Chase nie krył wrażenia, jakie to na nim wywarło.

To oznaczało kłopoty, olbrzymie kłopoty.

Wzdrygnęła się. Poczowała, że dostała gęziej skórki. Ależ figle potrafi płatać los! Żyła sobie spokojnie i szczęśliwie, aż tu nagle... Nie pragnęła zmian. Nie teraz. Pisanie pochłaniało ją bez reszty, dawało jej zadowolenie, było dla niej wszystkim. Nie, nie potrzebowała kłopotów.

Do szóstej, kiedy Chase zapukał do drzwi, ułożyła sobie to i owo w głowie. Przez tych kilka godzin myślała nieustannie - i nieustannie wracała do jego pocałunku.

Doskonale zdawała sobie sprawę, że przez swój dziki styl życia i dziwaczne zwyczaje traci bardzo wiele. Miała wprawdzie przyjaciół, lecz niezbyt bliskich. W szkole średniej i na studiach poznała niektóre tajniki życia płciowego, ale że była uparta i nieprzejednana - jej doświadczenia w tym zakresie nie były imponujące. Zawsze wiedziała, czego chce. Żaden z facetów, których znała, nie odpowiadał jej wymaganiom. Dlatego też nie zadawała się z nimi.

Przez wszystkie te lata dobrowolnego celibatu przekonywała się, że oszczędza sobie przynajmniej bólu, jaki przynosi miłosny zawód.

Z doświadczenia wiedziała, że charakter ma wyjątkowo trudny. Większość ludzi nie mogła z nią długo wytrzymać. Do

tej pory udało się to tylko jednej osobie - Amy, jej gospodyni i niańce; było to wręcz bohaterstwo. Nawet rodzice Gypsy, kochający i po rodzicielsku bezkrytyczni, nie potrafili się na to zdobyć. Jakież więc szanse mógł mieć ten nie znający jej kaprysów, spokojny i rozsądny mężczyzna?

Dlatego też, gdy otworzyła drzwi o szóstej, zdecydowana była twardo zdusić wszelkie próby romantycznych porywów. A potem pozwoli szlachetnemu rycerzowi wycofać się z honorem. Ale... Chase nie zamierzał opuszczać pola bitwy - chyba że wyniesiony na własnej tarczy.

- Znalazłaś? - spytał od progu. Zamknęła za nim drzwi i dogoniła go w holu.

- Kartę ubezpieczeniową? Tak, znalazłam. - Poprowadziła go do kuchni. Stwierdziła, że w dżinsach i koszulce wyglądał równie dobrze jak w garniturze. - Była w kopercie Pirata.

Chase przerwał wyjmowanie wiktuałów z przyniesionej ze sobą torby.

- Gdzie?

- W kopercie Pirata. Trzymam w niej wyniki badań weterynaryjnych.

- Aha. Nie pytam, skąd się tam wzięła - wrócił do swego zajęcia. Kiedy skończy spojrzał na Gypsy.

- Mm... Wyglądasz bardzo ładnie, wiesz? - Miał na myśli jej ulubione, sprane drelichy i robioną na szydełku bluzkę z krótkimi rękawami. - A to co? - wyciągnął rękę i zdjął jej z czoła okulary w ciemnej, szylkretowej oprawie.

- Zostaw! To moje okulary do pracy. - Odebrała mu szkła i włożyła z powrotem na czoło. - Lekarz mi je przepisał na astygmatyzm.

Ale Chase nie dał dziewczynie spokoju. Zsunął jej okulary na nos i, przechylając głowę, ocenił efekt. Gypsy nachmurzyła się.

- Dobrze ci. Wyglądasz bardzo uczenie.

- Akurat. Jak sowa - zdjęła okulary. - Jeśli liczysz na to, że ci pomogę gotować, pamiętaj, że możesz tego później żałować.

- Ani mi się śni. Siadaj tam, w kącie. Zobaczysz teraz mistrza przy pracy.

- Ha! Widzę, że w liceum wojskowym nie uczyli grzeczności.

- Owszem. Proszę, panno Taylor, zechce pani spocząć. Niech mi będzie wolno zademonstrować pani mój kulinarny kunszt.

- Tak jest znacznie lepiej - skinęła głową. Podeszła do krzesła z wysokim oparciem i usiadła.

- A wie pani, że zwracanie uwagi mężczyźnie jest oznaką zaborczości?

- Zwracałam uwagę już niejednemu dziecku - odparła natychmiast. Niech nie myśli, że pójdzie mu tak łatwo.

Chase podniósł palec do ust i spojrzał na Gypsy. Po chwili odwrócił się i kontynuował układanie kotletów na patelni.

- Aha. To znaczy, że lubisz dzieci - powiedział. - Założę się, że marzysz o tym, by mieć ich liczną gromadkę. W swoim własnym domu.

- Nie zakładaj się, bo przegrasz. Byłabym bardzo złą matką. Dlatego nie będę miała dzieci. Zerknął znad patelni.

- Złą matką? Czemu tak sądzisz? Czy to przez twój cygański styl życia?

- Nie. Raczej przez pisanie. Są tacy, którzy traktują to jak każdą inną pracę: od dziewiątej do siedemnastej, soboty i niedziele wolne - uśmiechnęła się ironicznie. - Ale nie ja. Ja pracuję dwanaście, czternaście godzin bez przerwy. I mogę tak tygodniami. Tracę na wadze, nie śpię... czasem tracę także przyjaciół. Zapominam o bożym świecie. Pirat, biedne maleństwo, musi się wtedy upominać o jedzenie. - Przerwała

na chwilę. - I co, wyobrażasz sobie, jakie życie miałyby moje dzieci?

Chase słuchał, kręcąc z niedowierzaniem głową.

- A czy nie boisz się, że w ten sposób szybko stracisz zdolności twórcze?

- Nie. Powiedziałam: kiedy pracuję. Bo robię sobie dłuższe przerwy, na przykład przed napisaniem nowej książki.

- W takim razie powinnaś mieć kogoś, kto by o ciebie dbał - zawyrokował Chase.

- Słusznie. Mam już takiego kogoś. To moja gospodyni, Amy. Nawiasem mówiąc, udało ci się spalić kotlety.

Mistrz sztuki kulinarnej czym prędzej rzucił się do patelni, klnąc pod nosem. Na szczęście straty nie były przerażające.

- Opowiedz mi o swoich rodzicach. Najpierw o matce. Chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej o osobie, która wymyśliła wtorkowe kawy.

Gypsy westchnęła.

- O Boże, ale się uczeplił. No dobrze. Mama jest malarką. Od razu ci powiem, że podziwiam jej niezwykłą sztukę, subtelną, bogatą w znaczenia, przepyszną plastycznie... A oprócz tego jest niezmordowana w prowadzeniu domu. Naprawdę, dużo pracy trzeba, żeby utrzymać porządek, jeśli się mieszka z dwoma takimi bałaganiarzami jak ja i papa. - Gypsy chwilę szukała słów, by lepiej opisać matkę. - Mama jest... hmm, naszą mamą. Trudno to wyrazić.

- Powiedziałaś, że jest malarką. Znam się trochę na tym. Może o niej słyszałem?

- Możliwe. Tworzy pod swym starym nazwiskiem: Rebecca Thorn.

- A! Jasne, że ją znam! Pochodzisz, jak widzę, z bardzo szacownej rodziny!

- Poczekaj, to jeszcze nie wszystko.

- Co, twój ojciec też...?

- Tak. Ale żeby znać jego imię, musiałbyś być naukowcem. Jest fizykiem. Od czasu do czasu znika gdzieś, a w ogóle to nie wolno mu mówić o swojej pracy. - Opuściła głowę, uśmiechnęła się ciepło. - To zdumiewające. Papa i mama żyją ze sobą w doskonałej harmonii od trzydziestu lat. I powiem ci, że gdybym nie znała tej historii, zachodziłabym w głowę, w jaki sposób papie udało się podbić serce mamy.

- Opowiedz mi.

- E, może kiedy indziej.

- O nie! Umieram z ciekawości!

- Przykro mi, ale nie mogę ci powiedzieć. To ich prywatna sprawa. Jeśli przyjadą tu z wizytą, sam ich zapytasz. Mieszkają w Portland.

- Mówiłaś, że dużo podróżują.

- Tak, zazwyczaj tak. Papa ciągle lata gdzieś samolotem, a mama od czasu do czasu na wystawy. Ale ostatnio częściej siedzą w domu.

Chase kończył krojenie warzyw na sałatkę. Nie podnosząc głowy, rzucił niewinnie:

- I mówisz, że pomimo skrajnej odmienności charakterów zgadzają się ze sobą?

- Tak. Chociaż mówili mi, że jeszcze przed moim narodzeniem strasznie się kłócili. Mama będąc w szóstym miesiącu ciąży, postanowiła jechać z wystawą przez cały kraj. Papa zaprotestował. To było niewiarygodne! Musiałbyś go znać, żeby wiedzieć, iż nigdy, ale to nigdy się nie wścieka.

- I co? Gdzie się w końcu urodziłaś?

- Z tym też była potworna awantura. To było w Phoenix. Mama poczuła bóle w środku nocy, więc wstała i zadzwoniła po pogotowie. Nawet nie próbowała budzić papy. On śpi jak zabity. Pojechała do szpitala sama. Tyle, że nie zostawiła mu żadnej wiadomości. I kiedy rano papa obudził się i zobaczył, że mamy nie ma, o mało nie dostał, biedak, zawału.

Słuchaj dalej. Mimo wszystko nie urodziłam się w szpitalu. Kiedy karetka zajechała pod izbę przyjęć, pielęgniarz - miał na imię Max - widząc, co się święci, pognął po doktora. Wrócili obaj w samą porę. Nawet nie próbowali wynosić mamy z karetki. Poczciwy Max po dziś dzień przysyła mi na urodziny kartki z życzeniami.

Chase oparł się o stół i zaczął kręcić głową. Po dobrej chwili Gypsy zrozumiała, że się bezgłośnie śmieje.

- Co w tym śmiesznego?

- Gypsy - powiedział z mocą, ignorując jej pytanie. - Ja muszę, koniecznie muszę poznać twoich rodziców.

- A, to się dobrze składa. Przyjadą w odwiedzin w niedzielę. Proszę bardzo, obiecuję, że się z nimi zobaczysz.

- Dziękuję - wrócił do robienia sałatki. Po krótkiej chwili przerwał i powiedział spokojnie:

- Chodź, zobacz.

Zsunęła się z krzesła i podeszła. Zajrzała mu przez ramię.

- Zaciałem się twoim nożem - wyciągnął rękę nad zlewem; zanim odkręcił zimną wodę, mała kropla krwi ściekła mu z palca i spadła na białą, lśniącą porcelanę.

- Może to zresztą nóż Robbinsów. W każdym razie... - urwał, zaniepokojony głośnym rumorem za plecami.

Gypsy poczuła, że leży na chłodnej podłodze. Otworzyła oczy. Nad sobą ujrzała zatroskaną twarz Chase'a. Ostrożnie podtrzymywał jej głowę i ramiona. Poruszyła się; nie miała pojęcia, co się stało. I naraz przypomniała sobie. Zamknęła oczy. Przebiegł ją lodowaty dreszcz.

- Założyłeś już bandaż? - zapytała słabo.

- Na razie tylko papierowy ręcznik. Boże, czemu mi nie powiedziałaś, że nie znosisz widoku krwi? Nigdy bym na to nie wpadł. Zważywszy tematykę twoich książek... To raczej dziwne.

- Cóż, nie jest to rzecz, którą się opowiada wszystkim naokoło - znów otworzyła oczy i uśmiechnęła się blado. - Uff. Myślę, że mogę już wstać - powiedziała, ale nie poruszyła się. Przypisała to swej słabości po omdleniu.

- Na pewno? - najwyraźniej i jemu spieszyło się, by ją puścić. - Nie uderzyłaś głową przy upadku?

- Nic nie czuję. Nie, chyba wszystko w porządku. Pomożesz mi wstać?

Zrobił, o co prosiła. Podtrzymując plecy dziewczyny silnym ramieniem, uniósł ją powoli i ostrożnie. Zawrót głowy całkowicie Gypsy ustąpił.

- Na pewno nic ci nie jest?

- Nie, nie. Już dobrze - powoli i niezbyt dokładnie wygładzała bluzkę. - Przykro mi, że cię przestraszyłam.

- Przestraszyłaś mnie? - Chase krzyknął prawie. - Dziewczyno, toż ja omal nie umarłem ze strachu! Jak można pisać całe książki o rozmaitych okropieństwach, skoro ma się tak zajęcze serce!

- Przecież nie muszę oglądać krwi, kiedy piszę - tłumaczyła cierpliwie.

Ale Chase kiwnął głową i patrzył z wyrzutem. Po chwili odwrócił się do kuchenki i pomieszał sos w garnku. Mruczał przy tym pod nosem z dezaprobatą:

- Niespodzianki. Te twoje niespodzianki wpędzą mnie do grobu. A ja chciałbym dożyć przynajmniej czterdziestki.

Zaraz jednak wrócił do tematu pisania.

- Myślę o twoich książkach. Czemu twoi bohaterowie są prawie zawsze czarnymi charakterami? Same tylko łajdaki, padalce, oszuści.

- Bo prawdziwi bohaterowie nie istnieją - odparła z przekonaniem. Wycofała się do swego kąta i z powrotem usiadła na krześle.

Przechylił głowę i spojrzał dziewczynie w oczy.

- Wiesz, nigdy bym się nie spodziewał, że to powiesz. Możesz mi to wyjaśnić?

- Ależ nie ma tu czego wyjaśniać. Uważam, że jest dokładnie tak, jak powiedziałam. Bohaterowie tak naprawdę nie istnieją, nie ma ich. Nigdy zresztą nie było. Są tylko wyobrażeniem, czystą fantazją, wymysłem ludzi, którzy stworzyli sobie postacie godne podziwu.

- Na przykład?

- Och, w Ameryce jest tego pełno. Od papierowych, komiksowych postaci dla dzieci, aż po mity chlubnej przeszłości kraju i dźwigających brzemień cywilizacyjnego posłannictwa herosów.

Chase słuchał uważnie, nie zapominając wszakże o swoim zajęciu. Otworzył lodówkę i wstawił do niej polaną gęstym sosem sałatkę. - Dobrze. A bohaterowie nam współcześni? Nie ma ich?

- Nie. To są już zupełnie inni ludzie. Sądzę, że prawdziwi. Bohaterstwo w tradycyjnym, ponadludzkim wymiarze blaknie wraz z kartami starych książek. Myślę zresztą, że to wielka szkoda. Bo na świecie jest miejsce dla bohaterów.

Zerknął na nią, smarując bułeczki masłem.

- O! W tych słowach wyczuwam gorzki smak rozczarowania. Czy ty w głębi ducha nie jesteś przypadkiem romantyczką?

Gypsy westchnęła cicho.

- Tak, wiem, że w dzisiejszych czasach to nieomal grzech.

- Ale ty przecież nigdy nie zaznałaś grzechu.

- Słuchaj no, to tylko pusta gra słów - parsknęła Gypsy. - Czy jest sens porównywać człowieka z literackimi wzorami? Choćby potencjalnego kochanka? Wątpię. Ludzie co prawda wynaleźli pewien sposób, powiedzmy: technikę, którą można

zastosować w życiu. Tą techniką jest romantyzm i romantyczność - pojęta ogólnie, jako postawa, światopogląd. Romantyzm jako aktywność, chłonięcie i przeżywanie świata, wiara w ideały. Nie tylko jako miłość, wszystko jedno czy szaleńcza i tragiczna, czy dworna.

Przezesłała palcami włosy. Czwała, że Chase bardzo chce poznać jej punkt widzenia i zrozumieć ją. Stał nieporuszony. Zapatrzył się w coś ponad jej głową, zamyślił głęboko. Po długiej chwili milczenia powiedział:

- Tak. Bohaterowie.

- Bohaterowie - powtórzyła jak echo. - No, panie kuchmistrzu, co tam słyhać z kolacją?

Rozdział 3

Gdy następnego dnia Gypsy wróciła myślą do wczorajszego wspólnego wieczoru, musiała przyznać, że Chase jest wspaniałym towarzyszem. Spędziła z nim kilka godzin - i nie nudziła się ani minuty. Opowiadał jej o szkole wojskowej, o specyficznej klienteli architekta i o swojej pracy.

Zadawał też pytania. O to, gdzie mieszkała, o jej rodziców, o jej metodę pisania. Poił ją wyśmienitym czerwonym winem i karmił taką ilością spaghetti, aż myślała, że pęknie. A potem zachwycił ją, nie przyjmując pomocy Gypsy przy zmywaniu naczyń.

Wyszedł, gdy na zegarze wybiła północ. Uścisnął dziewczynie rękę i pożegnał się zwykłym „dobranoc”.

Niezupełnie to było to, czego się Gypsy spodziewała.

W nocy nie mogła spać. Nigdy jej się to nie zdarzało. Rankiem pomyślała ze złością, że dobrze by było przestać wreszcie zawracać sobie nim głowę. Dość tego! Dłużej tak nie można!

Nakarmiła Bucefała i Pirata, a potem zrobiła śniadanie dla siebie. Sobota oznaczała sok. Gypsy pijała zwykle sok pomarańczowy, grejpfrutowy lub pomidorowy. Dziś wybrała ten ostatni. Nalała sobie wielką szklanicę i przyniosła na biurko. Postawiła ją w zasięgu ręki i zabrała się do pracy.

W dwie godziny później zdała sobie sprawę, że przewraca tylko papiery z jednej kupki na drugą. Przez cały ten czas nie zrobiła absolutnie nic.

Podniosła rękę do skroni i rozmasowała je. Była znużona. Wysilek fizyczny - oto czego jej trzeba. Praca koncepcyjna wymaga intensywnego myślenia, a Gypsy myśli wciąż tylko o jednym. O Chase Mitchellu.

Z trudem znalazła koszyk z narzędziami ogrodniczymi. Skąd u licha wziął się w łazience? Wyszła do ogrodu, pomiędzy grządki kwiatów i warzyw. Świeżo spulchniona

ziemia i kupki powyrywanych chwastów świadczyły, że w ciągu tych dwóch miesięcy często szukała tu wytchnienia.

Krzepko ujęła w dłoń motykę i poszła na sam koniec ogrodu, gdzie rósł wiekowy dąb. Energicznie zabrała się do pracy. Zaczęła pielć grządki w zasięgu rozłożystych konarów.

Coś zaszeleściło pomiędzy gałęziami i po chwili z metalicznym brzękiem spadł na nią pęk kluczy, mijając jej głowę o kilka centymetrów. Gypsy zmarszczyła brwi. To były klucze, widziała je wyraźnie przed sobą. Klucze. Nie żołędzie. Powoli uniosła głowę.

Na grubym, poziomym konarze leżał Chase. Patrzył na dziewczynę i uśmiechał się jak gdyby nigdy nic.

- Co ty tam robisz? - spytała z niezwykłym w tych okolicznościach spokojem.

- Staram się odzyskać moje kluczyki od samochodu.

- Aha. Zawsze je tam trzymasz?

- Dopiero od czasu, gdy poznałem twojego kota.

Wskazał ręką. Na tej samej gałęzi co Chase, tylko dalej od pnia, siedział Pirat. Miał najniewinniejszą w świecie minę. Płynnie i uwodzicielsko poruszał swym puszystym ogonem.

Chase podparł brodę pięścią i ułożył się wygodnie na brzuchu.

- Twój sprytny kot - wyjaśnił - w jakiś sposób dostał się do mego domu. Nie mam pojęcia, jak mu się to udało, niemniej jednak znalazł się w środku. Jeszcze kilka minut temu siedział na mojej kanapie z kluczykami w zębach. Próbowałem mu je odebrać, ale bestia jest złośliwa. Ganiał się ze mną w kółko po pokoju, a potem przepadł jak kamień w wodę. Po dłuższej chwili zobaczyłem go na parapecie, po drugiej stronie okna. A kiedy wyszedłem na dwór, uciekł i wlaź na to drzewo. Cóż miałem robić? Wlaźłem za nim. Ot i cała historia.

- Taak - Gypsy znów zerknęła na kota - niewiniątko. - Tylko czemu miałby kraść twoje kluczyki?

- A więc nie wierzysz mi?!

- Przepraszam cię bardzo, ale znam Pirata jednak trochę dłużej niż ty.

- On ukradł moje kluczyki.

- Po cóż miałby to robić?

- Skąd do cholery mam wiedzieć?! Może chciał się przejechać samochodem? Jest na to wystarczająco bezczelny.

- Proszę mi tu nie obrażać Pirata. W przeciwnym razie będę musiała zabronić ci wspinania się na moje drzewo.

- Tere - fere - kuku.

- Chase, koty nie kradną kluczyków od samochodu. A zresztą, kluczyki nie kluczyki, Pirat nigdy niczego nie ukradł.

- Ukradł. Chciał mi w ten sposób ubliżyć. Mówiłem ci, że ten kot mnie nie znosi!

- Dopiero zaczniesz, jeśli będziesz o nim mówił tym tonem. Nie masz pojęcia o kotach. Gdyby był rzeczywiście wrogo usposobiony, to podarłby ci firanki albo, na przykład, ugryzł cię czy podrapał. Ale nie kradł by kluczyków.

- Ale on je ukradł. Jezu, cóż za uparciuch.

- Tak jest, ukradł. Z zimną krwią postanowił, że ci je ukradnie, ponieważ cię nie znosi. Bawił się z tobą w kotka i myszkę. Aż wreszcie zmusił cię, żebyś wlaź na drzewo.

- Nie, nie, to wszystko to tylko mój czczy wymysł.

- O właśnie! - zawołała tryumfalnie Gypsy i wróciła do pielienia grządki.

W górze zaszeleściły gałęzie i rozległo się stłumione „cholera”. Potem zapadła cisza. Gypsy nie zwracała uwagi.

- Hej, może byś mi pomogła? - odezwał się Chase z wyrzutem.

- Co? Dorosły mężczyzna nie potrafi sam zejść z drzewa?

- Ze wszystkich sił starała się nie wybuchnąć śmiechem.

- Takie jest życie. Nie ma w tym nic złego, że się czasem prosi o pomoc - odparł dramatycznym głosem Chase. Milczał przez chwilę. - Pomocy!

Gypsy wyprostowała się wreszcie i spojrzała do góry. Z trudem utrzymywała powagę.

- No i co ja mam zrobić? Wleźć po ciebie? A może stanąć pod drzewem i złapać cię w fartuszek? Chase spiorunował ją wzrokiem.

- Wszystko jedno. Jak tylko zejde, już ja się z tobą policzę, zobaczysz!

- O, w takim razie wolę, żebyś tam siedział.

- Naśmiewasz się ze mnie, ty mała nieznośna wiedźmo!

- Wcale się nie naśmiewam! - aż ją skręcało ze śmiechu. - To tylko taki tik. Mam go od urodzenia.

- Dobrze, dobrze. Lepiej mi powiedz, gdzie mam oprzeć stopę. Nic stąd nie widzę. W końcu jakoś zlazł.

- Ha, to ci da nauczkę - spojrzała na niego z góry z miną zarozumiałej starszej siostry. - Co ty byś beze mnie zrobił?

- Po prostu umarłbym z głodu. A co ty tu robisz? Myślałem, że jesteś zajęta.

- Już ci mówiłam, że pracuję o dziwnych porach.

- Tak? A to co? - wskazał na motykę.

- Jak to co? Motyka. Pielę astry.

- Moja Gypsy, nikt cię nigdy nie przegada. Nie zareagowała. Udała, że nic nie słyszy.

- Cóż, to jedna z moich licznych wad - odezwała się po chwili. Podniosła z ziemi kluczyki i podała Chase'owi. - Nie będę zawracać ci głowy.

Teraz on udał, że ją źle zrozumiał:

- O, nie mam nic przeciwko temu. Zawracaj mi głowę jak najczęściej. Do końca życia. Gypsy zmieszała się, ale tylko na chwilę.

- Nie, nie. Nie warto. Miałabym wyrzuty sumienia.

- Może. Ale znalazłyby się i dobre strony. Trzy porządne posiłki dziennie. Miejsce, gdzie mogłabyś złożyć swą biedną, skołataną głowę.

- To mnie nie interesuje.

- Lektura wszystkiego, co napiszesz i recenzja na miejscu.

- Umiem czytać.

- Przepisywanie na maszynie.

- E tam! - machnęła lekceważąco ręką, ale głowę miała spuszczoną. Bała się spojrzeć mu prosto w oczy.

Machnęła od niechcienia motyką i wyrwała pięknie rozrośnięty aster.

- Co ty robisz? Przecież to nie chwast - Chase nie spuszczał jej z oka. - A właśnie że chwast. I to perfidny. Udaje, że jest kwiatem.

- A ty? Kogo ty udajesz?

- Ogrodnika. Skoro nie chcesz sobie iść, pomóż mi pielić.

- Dobrze, proszę pani - sięgnął do koszyka z narzędziami.

- Jezu! Skąd się tu wziął słownik?

- Też mi pytanie. A gdzie ty trzymasz swoje słowniki?

Chase nie odpowiedział. Bez reszty pochłonęła go zawartość koszyka. Tak jak podejrzewał, kryły się w nim inne jeszcze niespodzianki. Już po chwili uśmiechnął się tryumfalnie i podniósł do góry rękę. Trzymał w niej widelec.

- O! Czy tym mam pielić?

- Ależ proszę bardzo - Gypsy była niewzruszona. - Rób, co ci się żywnie podoba.

- A może raczej zjemy obiad? - pochylił się i z zapalem wyrwał wielką komosę, pomagając sobie oczywiście widelcem.

Gypsy, z miną łagodną i cierpliwą, odebrała mu to osobliwe narzędzie.

- Nie, raczej nie. Obiad źle smakuje zaraz po śniadaniu.

- Szkoda.

- Dziękuję ci za pomoc. Wolałabym, żeby Robbinsowie po powrocie zastali tu jeszcze jakieś rośliny, a nie gołą pustynię.

- Czyżbyś miała złe mniemanie o moich umiejętnościach ogrodnika?

- Właśnie tak. Przecież zatrudniasz ogrodnika.

- Za to gotuję lepiej niż ty.

- Wcale nie lepiej. Po prostu: ty gotujesz, a ja nie. Chase westchnął ciężko.

- Dobrze. Skoro nie chcesz, żebym z tobą pielł, to sobie idę. Potrzebujesz czegoś z miasta? Muszę zrobić zakupy.

Gypsy zawahała się.

- Jeśli jesteś tak miły... Potrzebuję z pięć litrów mleka.

- Sobota jest dniem na mleko?

- Nie. Poniedziałek.

- I wypijesz w poniedziałek pięć litrów mleka? Przecież do tej pory zepsuje się!

- Nie wszystko wypiję. Jadam kaszki na mleku.

- Taak. A... co robisz dziś po południu?

Gypsy spojrzała w górę. Siedzący ciągle na gałęzi Pirat gotował się do skoku.

- Uwaga! Do tyłu! - krzyknęła. Chase cofnął się. Pirat, zawiedziony, wylądował w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą stał.

Chase złapał się za głowę, cudem niemal ocaloną od szponów potwora.

- A co, nie mówiłem! On mnie nienawidzi! Gypsy tym razem stanęła w obronie sąsiada.

- Pirat, psik! Idź sobie. Jesteś niegrzeczny dla gości! - tupnęła nogą. Kot podniósł ogon i z godnością pomaszerował do domu.

- Przepraszam cię - mruknęła lekko zawstydzona Gypsy. - Nic nie rozumiem. Pirat zawsze był dla wszystkich bardzo miły...

- Wszystkich, ale nie dla mnie.

- Hmm, może miałaś rację z tymi kluczykami - powiedziała ostrożnie.

- Dzięki. Wróćmy jednak do dzisiejszego popołudnia. Co robisz?

- Zazwyczaj... spaceruję po plaży. Ale przedtem... jeszcze nie wiem.

- Rozumiem. A więc pięć litrów mleka. Na razie - Chase oddał dziewczynie wojskowe honory i odszedł.

Gypsy patrzyła za nim w zamyśleniu. Och, dziwne były te ich rozmowy. Gdyby przysłuchiwał się im ktoś trzeci, z pewnością już po krótkiej chwili popukałby się w czoło. Mogło się wydawać, że oboje gadają od rzeczy. Lecz - co ciekawe - mimo wszystko rozumieli się doskonale. W lot chwyтали swoje myśli.

Gypsy zaniepokoiła się.

Ze zdwojoną energią zabrała się do pracy. Kopała i wyrывała chwasty jak w transie. Ale nie mogła się uspokoić.

Wpadła w tarapaty, w poważne tarapaty. Chase był kimś niezwykłym. Obdarzony przenikliwą inteligencją, zadziwiającym, nieco absurdalnym poczuciem humoru, miał w sobie coś, co przyciągało uwagę. Był ulepiony z tej samej co ona gliny, pasował do niej doskonale. Z łatwością dostrajał się do jej zmiennego, kapryśnego humoru. A na dodatek był całkiem po prostu - uroczy.

Poza tym.. tak się jakoś składało, że zawsze miała skłonność do rudzielców.

Z rozpędu wyrывała piękny aster. Posadziła go czym prędzej. Cholera! Czy naprawdę nie można o nim nie myśleć? Ale to nie takie proste. Uważała się przecież za

profesjonalistkę, a długie godziny spędzone przy maszynie do pisania nauczyły ją, że umysł pisarza jest zdumiewającym narzędziem, nie poddającym się żadnej kontroli: ścisłemu, racjonalnemu rozumowaniu nierzadko towarzyszyły wloty nieokiełznanej wyobraźni.

„Zaraz, zaraz, tylko spokojnie - myślała, machając motyką z coraz większą rozpaczą. - Przecież nie chcesz się w nic mieszać. To absolutnie wykluczone. Pomyśl chwilę, dziewczyno. Musiałabyś mieszkać stale w jednym domu. On uważałby, że powinnaś nauczyć się gotować; wiesz, że tak by było. Nie wystarczyłoby mu to, co akurat przypadkiem jest w lodówce. Krzywiłby się na brudne ciuchy porozrzucane po całym domu. Na kocią sierść na kanapie. A zwłaszcza na sierść Pirata.

Najlepiej byłoby uciąć to wszystko już teraz. Bezboleśnie - mówiła sobie, otoczona wielką chmurą kurzu, jaką wzbijała jej motyka. Od jakiegoś czasu Gypsy kopała bezsensownie w jednym miejscu. - Przynajmniej oszczędzisz sobie ciągnięcia po sądach, kiedy on uzna, że dość już tego dobrego. Tak. Pomożesz mu spakować walizki, albo sama spakujesz swoje - i do widzenia. Żadnych dramatów. Kulturalne rozstanie dwojga cywilizowanych ludzi."

Poczuła, że na rękę kapnęła jej kropla.

- Och nie, nie! - jęknęła wściekła, ocierając drugą łzę wierzchem brudnej dłoni. - Nawet się nie zaczęło, a ty już płaczesz, że to koniec!

Zła na siebie jak diabli cisnęła motykę do koszyka. Stała, gapiąc się bezmyślnie na kwiaty. Wreszcie chwyciła koszyk i poszła do domu.

Nie miała pojęcia, kiedy Chase wróci z miasta. Przypuszczała, że przy okazji będzie chciał odwiedzić warsztaty i spróbuje ściągnąć Daisy z drogi. Miała mnóstwo

czasu dla siebie; mimo to siedziała w pustym domu i nudziła się.

Nie miała nastroju do pisania. Do pielenia zniechęciła się ostatecznie. Próbowwała bawić się z Bucefałem. Wyszła na trawnik i rzucała mu patyk. Po godzinie pies znudził się. Wyszła wtedy z kotem. Pirat ani myślał fatygować się ganiem po głupi kawałek drewna. Patrzył na Gypsy z pogardą. Zrobiło się jej wstyd.

Poszła na plażę na długi spacer.

Gdy wróciła, w lodówce stała bańka z mlekiem. Gypsy wyjrzała przez okno - ani śladu mercedesa. Uśmiechnęła się pod nosem.

Zasiadła do pracy. Tym razem się udało. Szło jej nadspodziewanie dobrze.

- Trzeba było zamknąć drzwi. Nikt by ci nie przeszkodził. To był Chase. Przyniósł ze sobą torbę z zakupami.

- Hamburgery. Nie chce mi się gotować. Chodź, zjemy coś - odwrócił się i, nie bacząc na dziewczynę, poszedł do kuchni.

Gypsy wstała posłusznie. Pomyślała, że normalnie wyrzuciłaby go za drzwi, ale... jakoś nie miała na to ochoty.

- Skąd wiesz, może jestem już po obiedzie? Jest druga.

- Nie, nie. Na pewno byłaś zbyt zajęta i zapomniałaś o jedzeniu. Co dziś pijemy? Zapomniałem spytać rano.

- Sok. Wybrałam pomidorowy.

- Z hamburgerami?

- To pasuje. A co ty będziesz pił?

- To samo. Zawsze otwarty na nowe doświadczenia. Wyładował zakupy, a ona naląła soku do szklanek.

- Jezu! Zróbże coś z tym psem. Jeszcze się przez niego przewrócę i skręcę kark.

- Przecież był na dworze. Po co go wpuściłeś?

- No wiesz, raczej nie dyskutuje się z psem tej wielkości.

- Bucefał! Na dwór! - Gypsy wyrzuciła psa i zamknęła drzwi. Nie było też kota.
- Wspaniale. W ten sposób zwierzęta nie będą zgorszone.
- Zgorszone?
- Tak. Tym, że będziemy się długo i szaleńczo kochać.
- O! A będziemy?
- Tak jest. - Och.
- No wiesz? Mogłabyś okazać choć odrobinę entuzjazmu
- rzekł Chase z wyrzutem.
- Przepraszam. Zabrzmiało to tak kategorycznie.
- To chyba moje przeszkolenie wojskowe.
- Prawdopodobnie. Lepiej się tego pozbądź. Nie znoszę, kiedy się mną dyryguje.
- Ale ja nie dyryguję. Po prostu stwierdzam fakt. Sama zobaczysz. Prędzej czy później tak się stanie.
- Akurat.
- A słyszałaś przysłowie o kropli, co draży skałę?
- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Ze jestem cierpliwy, moja Gypsy.
- Wcale nie twoja. Nie potrzebuję faceta, który oskarża mojego kota, że ten zmusił go do wejścia na drzewo.
- W porządku. Zapomnijmy o tym, dobrze?
- Nie ma mowy. Nigdy tego nie zapomnę - roześmiała się.
- To jeszcze jedna z moich wad.
- Aha. Masz ich trochę, prawda?
- Niestety tak. Przykro mi, jeśli cię rozczaruję. Jestem jednak pewna, że znajdziesz sobie kogoś, z kim będziesz mógł przyjemnie spędzić wakacje.
- Moja słodka Gypsy! A moją wadą jest to, że jak już coś sobie wbiję do głowy - zawsze to osiągam.

Rozdział 4

Przez resztę dnia Gypsy myślała o tym, co powiedział Chase. Co on wbił sobie do głowy i co chce osiągnąć? Kogo ma na myśli? Oczywiście ją. Ale co właściwie chciał... Och, dosyć już dosyć! Z roztrząsania każdego szczegółu nic dobrego nie wyniknie.

Tymczasem Chase robił wszystko, by Gypsy stale odczuwała jego obecność. Nie narzucał się zbyt; wyszedł zaraz po obiedzie, tłumacząc grzecznie, że nie chce jej przeszkadzać w pracy. Ale wrócił. I to nie raz, a cztery - w ciągu trzech godzin. Za każdym razem przychodził do jej kącika i przeproszał, że niepokoi. A to pożyczył szklanek cukru, a to kostkę masła, odrobinę mleka, a ostatnim razem... wazon do kwiatów. Ten wazon zwłaszcza zaintrygował Gypsy.

- Jak myślisz, Herman, co mu chodzi po głowie? - spytała swej maszyny do pisania, kiedy Chase wyszedł po raz czwarty. Lecz Herman nie kwapił się z odpowiedzią. Powtórzył za to trzy razy to samo słowo. No cóż, winę za tę pomyłkę mogła przynajmniej zwalić na Hermana.

Dziesięć minut później, kiedy siedziała gapiąc się na do połowy zapisaną kartkę, wrócił Chase. Tym razem śmiało podszedł do biurka, zabrał kartkę Hermanowi i zabębnił palcami o blat.

- Idziesz z własnej woli czy mam cię porwać siłą?
- Idę gdzie? - spytała Gypsy cicho.
- Do mnie.
- Dlaczego miałabym iść do ciebie?
- Bo zapraszam cię na kolację?
- Zapraszasz czy żądasz stawienia się?
- Zapraszam. Z całą mocą.
- A jeśli powiem grzecznie: nie?

- Wtedy cię zaniosę, choćby na własnych plecach. Porwę cię. Ale w takim wypadku nie puszcę cię szybko. Będzie więc znacznie lepiej, jeśli pójdziesz dobrowolnie.

Gypsy jęknęła żałośnie. Nie miała siły z nim walczyć.

- Chyba rzeczywiście pójde sama. Czy mam twoje słowo dżentelmena, że będę mogła wrócić, kiedy zechcę?

Chase położył rękę na sercu i skłonił się lekko z galanterią. - Pani, masz moje słowo. Jakoś nie mogła się pozbyć podejrzeń, ale podniosła się z miejsca.

- Czy to uroczysta kolacja, czy też mogę się nie przebierać i iść tak jak teraz?

- Tak jak teraz. Uroczystą kolację zrobimy sobie później. Możesz natomiast włożyć buty. Przeszli przez szeroki, starannie przystrzyżony trawnik i niski żywopłot, który oddzielał od siebie obie posesje. Weszli na ganek. Chase otworzył drzwi i puścił Gypsy przodem.

Znalazła się w domu, który tak podobał się jej od zewnątrz. Natychmiast całym sercem pokochała także i jego wnętrze.

Z obszernego przedpokoju przechodziło się do przestronnego salonu o obniżonej podłodze, wyściełonej pięknym, rudym dywanem. Ściany z płytkami wnekami i wklęsły na środku, kasetonowy sufit miały jasne, pastelowe kolory. Na umeblowanie składały się swobodnie rozmieszczone zestawy półek z książkami oraz różnego rodzaju prostokątne stoły i stoliczki. Pośrodku pokoju, na niskim podium, stała wysokiej klasy wieża hi - fi. Gypsy była zachwycona. Westchnęła głęboko. Jeśli i reszta domu wygląda podobnie...

- Och, jak tu pięknie, pięknie! Czy to ty wszystko projektowałaś?

- Tak - odparł z dumą Chase, wyraźnie zadowolony z wrażenia, jakie wywarł na dziewczynie jego dom. - A teraz,

skoro się już pani napatrzyła, proszę do jadalni. Za chwilę podam kolację.

Zachęcającym ruchem ręki wskazał drzwi. Gypsy poszła w milczeniu. Stół nakryty był na dwie osoby. Podchodząc do niego, powiedziała z uśmiechem:

- Teraz już wiem, do czego potrzebny był ci wazon.

Chase uprzejmie przysunął jej krzesło, po czym zniknął w kuchni.

Gypsy patrzyła na kwiaty. Czowała się dziwnie; jak ktoś, kto nie umie pływać, a po raz trzeci już wpada do głębokiej wody. Wiedziała, że tym razem nadzieja ratunku jest bardzo, ale to bardzo nikła.

Gypsy nigdy w życiu nie jadła choucroute czy vichyssoise. Potrawy były wspaniałe. Chciało jej się śmiać, kiedy wyobraziła sobie, jak muszą w tej chwili wyglądać: siedzą wyniośle przy uroczystej kolacji, ubrani w... dżinsy z frędzlami i porozciągane koszulki.

Chase podał jej, jak się wyraził, „sok - niespodziankę”.

- To sok, naprawdę. Właściwie mieszanina różnych soków.

- Aha, już to widzę. Więcej w nim „fikołków” niż soku.

- To znaczy, że ciut przesadziłem. Nic nie szkodzi.

- Szkodzi. Zakłócasz mój napojowy porządek tygodnia.

- Czas już rozszerzyć horyzonty.

- Ha! Jest bardzo dobry.

- Dolać pani jeszcze... hmm, soku?

- Chase! Chcesz mnie upić, przyznaj się! Spojrzał na nią, oburzony.

- Ależ skąd. Szampan dla dzieci ma więcej „fikołków” niż mój sok. A teraz pora na deser.

- Proszę mi powiedzieć, mistrzu: po co to wszystko? Czemu pan się tak stara?

- To oczywiste. Po to, żeby panią uwieść. Gypsy przełknęła z trudem kęs.

- Aha. To oczywiste - sięgnęła po serwetkę, głównie zresztą po to, by nie zauważył, że drżą jej usta. - Przez żołądek do serca... kobiety, czy nie tak?

Milczał. Dziewczyna pomyślała, że obrał bardzo skuteczną strategię.

Skończyli deser. Chase zaproponował, by przeszli teraz do salonu. Gypsy zabrała ze sobą swój sok. Rozsmakowała się w nim. Czowała, że powoli zaczyna już na nią działać.

Lecz nie tak, jak przypuszczalnie sądził Chase. Wątpiła zresztą, by próbował uwieść ją w ten sposób. Chciał zakłócić jej tryb życia, sprawić, by porzuciła właściwy sobie ironiczny dystans, którym zasłaniała się przed nim jak tarczą. To było bardzo sprytne. Był o krok od sukcesu. Większego nawet, niż planował. Sok nie miał dużo „fikołków”, ale Gypsy nie trzeba było wiele...

Postanowiła, że udzieli mu lekcji.

Kiedy wrócił z kuchni, krążyła po pokoju jak tygrysyca w klatce. Opróżniona szklanka stała na brzegu stolika.

- Gypsy?

Na dźwięk jego głosu odwróciła się i... rzuciła się mu w ramiona.

- Mówiłeś, że będziemy się dziś szaleńczo kochać!

Objął ją mimo woli. Patrzył na nią w niemym zdumieniu, jakby trzymał w ręku laskę dynamitu z podpalonym lontem.

- Tak, mówiłem...

- No i? Na co jeszcze czekamy?

- Na trzeźwość umysłu - odparł kwaśno. Wyszwoodziła się z jego ramion.

- Chciałeś mnie upić, a potem wykorzystać! Przyznaj się natychmiast!

- Tak... nie! Cholera, to nie fair! To ty tak myślisz, nie ja!
Przybrała smutną, zbolaną minę.

- A więc nie chcesz mnie?

- Nie, nie. Gypsy... - wyciągnął rękę, chciał do niej podejść.

- Nie waż się mnie dotykać! - wycodziła przez zęby. - Miałeś okazję i przegapiłeś ją. Teraz nic z tego. Chase zmieszał się straszliwie. Lecz po chwili zmarszczył brwi, a potem wypogodził się; zaczął się nawet

figlarnie uśmiechać.

- Moja Gypsy, prawie dałem się nabrać. Lubisz igrać z ogniem, prawda?

„Twardy jest” - przemknęło jej przez głowę. Trudno, nie miała wyjścia. Lekko wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się niewinnie.

- Nie fantazuj. Mistrzu, kolacja była wspaniała, wielkie dzięki. A teraz może już lepiej pójdę.

- Jak chcesz. Odprowadzę cię.

Jakoś za łatwo się zgodził. Zaniepokoiło ją to. Oczy błyszczały mu podejrzanie. Dwukrotnie tego wieczora oznajmił jej, że chce ją uwieść - a dotąd nie spróbował ani razu.

Milczeli oboje aż do drzwi domu Gypsy. Dziewczyna była spięta, milczenie ciążyło jej nieznośnie. Słońce zniknęło już za horyzontem, na niebie gasła dzienna zorza, lecz noc jeszcze nie zapadła. Dziwna była ta wieczorna godzina, rozpięta szarością pomiędzy światłem i kolorami dnia a czernią nocy. Doszli wreszcie do schodków ganku. I wtedy Chase złapał Gypsy za rękę. Obróciła się ku niemu. Serce waliło jej jak młotem, w oczach się ćmiło, a jakiś niewytłumaczalny lęk ścisnął gardło.

- Czy... wolno mi pocałować cię na dobranoc? - spytał Chase szeptem.

Chciała odpowiedzieć „nie”, chciała być zdecydowana... Zamiast tego kiwnęła głową. I nawet jej to nie zdziwiło.

Dotknął policzków, potem ujął w dłonie twarz dziewczyny. Pochylił się ku niej; jego usta musnęły ją delikatnie jak westchnienie. Nie starał się jej całować. Czowała tylko gorąco i słodycz jego warg - miękkich, cudownych.

Objęła go, tak po prostu, o niczym nie myśląc. Poczwała jego ręce na plecach. Zrobiło się jej lekko na sercu. Z dłoni Chase'a spłynął na nią spokój. Przytuliła się.

„A więc w ten sposób się uwodzi” - pomyślała. Zdziwiła się: jakżeż mogła z tym walczyć? I po co? Protestować, wrywać się, awanturować - po co, po co? To przecież takie miłe. Takie słodkie.

Przebiegło ją drzenie, lekkie jak puch na skrzydełkach motyla. Dreszcz ten, z początku tak delikatny, z każdą chwilą rozrastał się i nabierał mocy, aż wreszcie Gypsy poczuła, że nie może już opanować potężnego wzruszenia.

A kiedy Chase puścił ją, odniosła wrażenie, że oto coś bezpowrotnie utraciła. Zrobiło jej się smutno.

Chase nacisnął klamkę i otworzył drzwi.

- Dobranoc, moja Gypsy - szepnął.

- Dobranoc - odpowiedziała cicho. Oddychała z trudem. Weszła do środka, obejrzała się jeszcze na chwilę, a potem powoli, jakby z żalem, zamknęła drzwi.

Usiadła na kanapie. Długo siedziała bez ruchu, wlepiając wzrok w ciemny ekran telewizora. Pirat wskoczył na poduszkę i usiadł obok niej. Mruczał głośno. Pogłaskała go machinalnie. Przyszedł także Bucefał i położył się na dywanie u jej stóp.

Uśmiechnęła się.

- Moje zwierzaki. Chcecie mi pomóc, prawda? Niestety, obawiam się, że nic tu nie poradzicie... - westchnęła ciężko.

Siedziała zamyślona, wsłuchując się w ciszę. Słyszała w niej cichą muzykę tęsknoty. Usiłowała się otrząsnąć.

Postanowiła wziąć gorącą kąpiel. Może woda splucze z niej ten smutek.

Nie splukała.

Gypsy chodziła po domu to tu, to tam, próbowała coś robić, ale wszystko leciało jej z rąk. W końcu . zmęczyła się i poszła do łóżka. Lecz sen nie przychodził. Do północy przewracała się z boku na bok, wreszcie zapaliła lampkę i usiadła osowiała w pościeli.

Nagle zadzwieczał dzwonek telefonu.

O tej porze? Któż to? Podniosła słuchawkę.

- Będiesz o mnie śniła tej nocy? - spytał łagodny, męski głos. Nie była pewna, czy rozpoznała, ale mimo to odparła bez namysłu:

- Będę. To będzie słodki, słodki sen.

- Dobranoc, jedyna moja.

Odłożył słuchawkę. Gypsy zgasiła lampkę i uśmiechnęła się. Podciągnęła kołdrę pod samą brodę. Po chwili - szczęśliwa - zasnęła.

Spała jak zwykle sześć godzin.

Dziś niedziela, przyjadą w odwiedziny rodzice - pomyślała po przebudzeniu. Przyrządziła sobie szklanekę mrożonej herbaty i zasiadła za biurkiem.

Ranek minął szybko. Około dziesiątej usłyszała przed domem samochód, lecz nie przerwała pracy. Jeśli to rodzice, to wejdą sami. Jeśli ktoś inny - na pewno zapuka.

, I rzeczywiście, po chwili do pokoju wszedł ojciec. Wysoki, szczupły, jak zawsze dystyngowany. Włosy miał kruczoczarne, lekko siwiejące na skroniach. Spod gęstych brwi patrzyły łagodne, niebieskie oczy, wesołe i pełne dobroci. Pocałował córkę w policzek.

- Cześć, papo.

- Jak się masz, córeczko. - Oparł się o biurko i założył ręce na piersi. - Nie wiem, czy zauważyłaś, że na drzewie przed domem siedzi jakiś człowiek.

- Och! - wyrwało się Gypsy. „Boże, co on wyprawia!” - pomyślała. - To... to Chase.

- Hmm, twój wielbiciel, córeczko?

- Tylko sąsiad. Rozmawiałaś z nim? Dlaczego siedzi na drzewie? - jak mogła, starała się ukryć zdumienie.

- Nie, w ogóle na niego nie patrzyłem. Nie jestem przecież podglądaczem. Gypsy uśmiechnęła się pod nosem.

- A ja myślę, że wiem, co tam robi. Pewnie Pirat znów ukradł mu kluczyki od samochodu. Allen Taylor był niezwykle opanowany. Nawet okiem nie mrugnął. Spytał tylko:

- O, a od kiedy to Pirat kradnie kluczyki?

- Dokładnie od wczoraj. Ale, ale , gdzie mama?

- Chyba pomaga temu... Chase. Poszła zobaczyć, czy mu czegoś nie trzeba.

Panu Taylorowi nawet przez głowę nie przeszło, z jakim przerażeniem jego córka myśli o okolicznościach pierwszego spotkania Chase'a z jej matką.

Przeszli do pokoju stołowego; zaraz też przybyli tam matka Gypsy i Chase. Sąsiad miał tak zdumioną minę, że na jej widok Gypsy o mało nie wybuchnęła śmiechem.

Często córki podobne są do swych matek - ale Gypsy i jej mama wyglądały jak siostry bliźniaczki. Tego samego wzrostu, tej samej figury, miały takie same, ciemne, kręcone włosy i brązowe oczy. Nawet ubrane były podobnie: w dzinsy i robione szydełkiem bluzki. Rebecca Taylor wyglądała bardzo młodo. Miała wyższy niż Gypsy głos i mówiła nieco wolniej.

- Cześć, mamó - przywitała się z nią córka. - Widzę, że już się poznałaś z Chase'em.

- Tak, Gypsy. Posłuchaj, musisz koniecznie przemówić Piratowi do rozumu. Powtarzające się kradzieże kluczyków od samochodu to bardzo brzydki nawyk.

- Dobrze, mamusiu - Gypsy spojrzała na Chase'a. Cudem powstrzymała się, żeby nie parsknąć śmiechem. - Papo, to jest Chase Mitchell. Chase, przedstawiam ci mojego ojca, Allena Taylora.

Chase był tak zdumiony i oszołomiony, że niemal zapomniał podać ręki.

Tego wieczora Gypsy kładła się z uśmiechem. Wspólna kolacja zakończyła się zaledwie przed godziną. Rodzice i Chase wrócili do swych domów. Zgasiła już lampę na nocnym stoliku, kiedy zadzwonił telefon.

- Śniłaś o mnie wczoraj?

To znowu ten głos. Gypsy uśmiechnęła się ciepło.

- Tak. Przecież ci obiecałam.

- Rzeczywistość przerasta wszelkie sny...

- Naprawdę?

- Mogę ci to udowodnić.

- Ale ja cię nie znam. Nie wiem, kim jesteś - powiedziała łagodnie.

- Możemy się spotkać.

- Nie, nie, wolę rozmawiać z tobą nie widząc cię.

- Ale kochankowie powinni się widywać.

- Pozbawiłoby to nas uroku tajemnicy.

- „Dzień to noc ślepa, która cię zaćmiła...”? Gypsy, nie zastanawiając się, dokończyła strofę:

- „Noc to dzień jasny, gdy sen ciebie zsyła.”

- Dobranoc, moja miła. Śpij dobrze.

Odłożyła słuchawkę i opadła na poduszkę. Myślała o niezdarzym ogrodniku, który był za to wspaniałym kucharzem. O tajemniczym głosie, który pod osłoną ciemności mówił jej o kochaniu.

Rozdział 5

Dni mijały szybko.

Chase pojawiał się bardzo często. Przychodził, wychodził, jednym słowem stale kręcił się w pobliżu. Wspinanie się na drzewo po kluczyki od samochodu stało się codziennym rytuałem. Chase nie umiał sobie poradzić z kotem. Chował kluczyki w najróżniejszych miejscach, raz nawet wsadził je na noc pod poduszkę - nic nie pomagało. Pirat był niezwyciężony.

Właściciel kluczyków coraz częściej wspominał o powtarzających się rzekomo w okolicy tajemniczych morderstwach kotów. Starał się nie przeszkadzać Gypsy, kiedy ta zajęta była pracą. Zmuszał ją jednak, by regularnie jadła posiłki. Albo sam gotował, albo zabierał ją do restauracji. Stale żartował, bawił ją, odgrażał się, że ją w końcu uwiedzie... Lecz w dalszym ciągu nic w tym kierunku nie robił. We wtorek, późnym popołudniem, wpadł do jej pokoju wyraźnie podniecony,

- Gypsy, Gypsy! W mojej sypialni jest kotka! Okociła się w pudle, w którym trzymam nowy garnitur. Ma trzy kociaki!

Spojrzała znad maszyny. A to ci dopiero nowina!

- No dobrze, Chase, ale co ja mogę na to poradzić? Chase zirytował się.

- Pirat - syknął przez zaciśnięte zęby - stoi pod drzwiami i pilnuje. Nie mogę wejść do środka!

- Rozumiem cię, ale nie będziesz chyba niepokoił kotki i małych kociaków?

Chase, zły jak diabli, przewrócił oczami i zacisnął pięści, ale Gypsy nie dała mu dojść do słowa:

- Czemu nie powiesiłeś garnituru w szafie?

- Bo nie zdążyłem. Przywiozłem go wczoraj. Otworzyłem pudło tylko po to, żeby sprawdzić, czy dali mi ten, który sobie

wybrałem. Zostawiłem pudło w szafie na dole - spojrzał z wyrzutem na Gypsy. - Myślałem, że dość ci jednego kota.

- Ależ tak! Nie mam pojęcia, skąd się wzięła ta kotka. Pewno Pirat ją sprowadził.

- Wszystko jedno. Teraz już za późno. Muszę wyprosić tę kocią rodzinę. Może... do ciebie?

- Nie ma mowy. Zapomniałeś o Bucefale? Kotka natychmiast przeniesie kociaki z powrotem, do swojego gniazdka.

- Do gniazdka?! Mam ci powiedzieć, ile mnie to „gniazdko” kosztowało? Gypsy puściła to pytanie mimo uszu.

- Lepiej mi powiedz, czy ta kotka ma niebieskie oczy.

- Jezu, a skąd ja mam wiedzieć?! Nie mogę nawet zapalić światła w sypialni, ten potwór rzuca się na mnie jak wściekły. Ale po co ci to?

- Bo jeśli jest cała biała i ma do tego niebieskie oczy, to znaczy, że najprawdopodobniej jest głucha. To dlatego Pirat jej pilnuje.

- Głucha?

- Tak, to się dość często zdarza. Jakaś wada genetyczna.

Chase nic na to nie powiedział. Stał tylko i patrzył: skąd miał wiedzieć, czy dziewczyna przypadkiem sobie z niego nie żartuje?

- Słuchaj, w kuchni jest jedzenie dla kotów - powiedziała Gypsy, uważając, by nie zabrzmiało to ironicznie. - Możesz wziąć ile chcesz.

- Jeszcze czego!

Chase obrócił się na pięcie i wyszedł.

Chcąc nie chcąc, powoli zaczął się jednak przyzwyczajać do nowych lokatorów. Kiedy przychodził do Gypsy, informował ją o ich życiu rodzinnym i skarżył się, że przez kocie harce w szafie nie może spać; Gypsy zresztą uważała, że grubo przesadza. Doszło też do zawarcia kruchego pokoju z

Piratem, który wpuszczał Chase'a do sypialni pod warunkiem omijania z daleka szafy. Jednakże pokój ten nie obejmował porannych podchodów z kluczami.

Minęły dwa dni.

W czwartek Chase pojawił się z wypiekami na twarzy.

- Wiesz, w Portland szykuje się bal maskowy.

- Bal maskowy? Myślałam, że takie imprezy złożono do lamusa razem z krynolinami.

- Daj spokój. Mówię poważnie. Charytatywny bal maskowy. Gypsy, bądź grzeczną dziewczynką i postaraj się jutro o kostium.

- Zapomniałeś, że nie mam samochodu.

- Nie szkodzi. Pożyczę ci mój.

- No dobrze. Za co mam się przebrać? Masz jakąś koncepcję?

- Tak. Coś w guście Dzikiego Zachodu.

- Może... Calamity Jane?

- Nie, nie, wykluczone. W tańcu rewolwery będą przeszkadzać mojej szpadzie.

- Twojemu czemu?...

- Mojej szpadzie.

- A któż na Dzikim Zachodzie nosił szpadę?

- Ha, już niedługo się przekonasz.

- Ach tak. Dobrze, wobec tego przebiorę się za dziewczynę z saloonu.

- Boa z piór?

- Nie tylko. Gorset, siatkowe pończochy i podwiązka z różą. Zobaczysz, będziesz miał ręce pełne roboty z odpędzaniem ode mnie facetów! - ostrzegła ze śmiechem.

- To wspaniale! Będę to robił moją szpadą. Zawsze marzyłem, by kogoś wyzwać na pojedynek.

- Czyli zamordować.

- Nie. Pojedynek to sprawa honoru, a nie morderstwo - sprostował z godnością.

- Owszem, ale tylko w przypadku, kiedy przeciwnik jest większy i silniejszy od ciebie. Bp jeśli nie, to jest to tylko zwykle morderstwo. Wierz mi, już ja się na tym znam.

Tak jak obiecał, Chase dał samochód i Gypsy pojechała w piątek do Portland wypożyczyć kostium. Z początku naprawdę myślała o stroju dziewczyny z saloonu, i to możliwie najbardziej kusym. A niech tam!

Ale po namyśle zrezygnowała. Postanowiła, że na taką okazję zdobędzie się na coś więcej.

To, czego szukała, znalazła już w pierwszej wypożyczalni kostiumów, do jakiej zajrzała. Do tej pory Chase oglądał ją w zwyczajnym, codziennym stroju, w dżinsach lub szortach. Gypsy zdecydowała, że tym razem pokaże się mu w czymś wybitnie kobiecym. A cóż może być bardziej kobiecego niż długa, sztywno krochmalona suknia?

Wróciła do domu późnym popołudniem.

Odstawiła samochód na podjazd przed domem sąsiada. Rozejrzała się dookoła. Chase'a nigdzie nie było. Otworzyła bagażnik, wyjęła pudło ze strojem i poszła do siebie.

Powiesiła kostium w szafie w sypialni, wyjęła kilka drobiazgów, które kupiła przy okazji i zasiadła w salonie z tomikiem poezji w ręku. Był to zbiór niezwykły: zawierał utwory hermetyczne, o skomplikowanej i niejasnej symbolice, pisane przez poetów, których życie osnute było mgłą tajemnicy lub twórców zgoła nieznanych z imienia. Tajemniczy był przecież jej nocny rozmówca, który mówił jej o miłości. Gypsy pomyślała, że musi się odpowiednio przygotować - na wypadek, gdyby chciał się jeszcze odezwać...

- Co robisz?

- Czytam poezję - zerknęła znad swoich szylkretowych okularów na stojącego przed nią Chase'a. Włożył ręce do kieszeni i pochylił się. Na jego ustach pojawił się na moment ironiczny uśmiezek.

- Czyżby morderca z twojej nowej książki czytał swej ofierze wiersze? Gypsy poprawiła okulary i zmrużyła oczy.

- Żartujesz chyba. Mordercy w moich książkach mają pokryte zieloną łuską paszcze, a kiedy je otworzą, zieją ogniem.

- Aha. To po co czytasz poezję?

- Bo kocham poezję, pocziwy wieśniaku.

- Akurat. Mam jeszcze jedno pytanie. Po co kupiłaś to coś? - wskazał na stojący na biurku posążek Buddy. W tłusty brzuch Nauczyciela wprawiony był zegar - niestety, popsuty.

Uśmiechnęła się, zakłopotana.

- A wiesz, nie mam pojęcia. Coś mnie w nim ujęło. Stał na bazarze, wśród straszego rupiecia... W każdym razie był tani. Tylko pięć dolarów.

Chase zdjął jej z nosa okulary i położył kolo Buddy. Ujął dziewczynę za dłoń, pociągnął ku sobie i mocno uściskał.

- Gypsy - powiedział ze śmiechem. - Nawet nie wiesz, jak ja za tobą przepadam.

- Dlatego że... kupiłam tego Buddę? - niezbyt przytomnie popatrzyła mu w oczy.

- Nie. Dlatego, że już taka jesteś. Czy aby nie pora na obiad? Jakie steki lubisz?

- Smażone - Gypsy wcale nie próbowała uwalniać się z objęć.

- Ach, ten twój cięty języczek. Nie powinnaś tak mówić do starszych. Zasługujesz na klapsa.

- Ładny mi starszy. Autorytet.

- A co, może nie. Mam trzydzieści dwa lata, moja droga.

- Matuzalem.

Lekko pogłaskał ją po pupie, jakby chciał pokazać, że w każdej chwili gotów jest spełnić swą groźbę.

- Jakie steki lubisz?

- Dobrze. Natychmiast przestań mnie bić!

- Tak? No, będę ja musiał cię nauczyć...

- Tylko spróbuj. Poszczuję cię Bucefalem! - zagroziła.

- Proszę bardzo. Karmię go już od tygodnia. Ten pies po prostu za mną przepada! Zaczęła się wyrywać, lecz bez wielkiego zapędu. Chase zresztą nie miał zamiaru jej puszczać.

- Zostaw mnie! Nie wiesz, że nie ufa się facetom po trzydziestce?

- Już trzydzieści lat temu wszyscy wiedzieli, że to bzdura.

- Na skutek zmasowanej propagandy trzydziestolatków.

- Co? Znów się odszczekujesz?

Pochylił się nagle i pocałował ją. Nie łagodnie i czule, ale z pasją, z jakąś gwałtowną zaborczością. Całował tak, jakby chciał odcisnąć na jej ustach niezatarte piętno. Jego piętno. Wreszcie puścił ją. Gypsy czuła się jak rażona gromem.

- I jak? - zapytał Chase stłumionym głosem. - Będiesz niegrzeczna? Oszołomiona, pokręciła głową w milczeniu.

- To dobrze - opuścił ją z powrotem na fotel. - Czytaj tę swoją poezję. Zawołam cię, kiedy steki będą gotowe.

Patrzyła za nim, gdy wychodził z pokoju. Wciąż nie mogła wydobyć z siebie głosu. A kiedy opuściła głowę, jej wzrok padł na otwartą książkę i zdanie Johna Donne'a sprzed niemal czterech wieków: „Weźmij mnie do siebie i zamknij w więzieniu...”

Serce Gypsy załkało boleśnie.

Tego wieczora znów zadzwonił telefon.

- Tęsknię za tobą - szeptał tajemniczy głos w słuchawce. - Ciągłe słyszę, jak do mnie mówisz. Nie dajesz mi spokoju.

- Nie znasz mnie przecież.

- „Kochałem byłem cię nieraz, nie znając twarzy twej ni miana". Gypsy uśmiechnęła się w ciemności. On też czytał Donne'a.

- Nie znasz mnie przecież - powtórzyła.

- W takim razie opowiedz mi o sobie. Powiedz, lubisz tęczę? Odgłos deszczu wczesnym rankiem? Lubisz patrzeć w gwiazdy, szeptać do nich ciemną nocą?

- Tak, tak - odparła ze wzruszeniem. Łzy napłynęły jej do oczu.

- A więc wiem już wszystko, co chciałem.

- Teraz ty mi powiedz, czy wierzysz w istnienie jednorożca? W życie na innych planetach? Czy wierzysz, że na świecie są... bohaterowie?

- Tak, wierzę.

- W takim razie ty nie istniejesz - roześmiała się do słuchawki.

- Istnieję, kochana, jestem z krwi i kości. Istnieję przez ból mego serca - dla ciebie. Cóż mogła odpowiedzieć? Jej własne serce drżało i kwiliło.

Lecz on nie żądał odpowiedzi.

- Dobrej nocy, miła moja. Śnij o mnie. I śniła.

Włożenie kostiumu zabrało Gypsy mnóstwo czasu. Odwykła już od noszenia sukni, ta zaś wyposażona była w cały arsenał wstążek i haftek, a wszystkie należało starannie pozwiązywać i pozapinać. Nie mówiąc już o arcydziwacznej bieliźnie!

Zwłaszcza gorset sprawił jej mnóstwo kłopotów. Kiedy przymierzała go w wypożyczalni, była zachwycona smukłością swej zasznurowanej talii. Nie przyszło jej niestety do głowy, że nie będzie nikogo, "kto mógłby zasznurować ją w domu. W końcu sobie poradziła, ale przyszło jej to z dużym trudem. Włożyła gorset tył na przód, zawiązała tasiemki, a potem długo szamotała się, sapiąc i wstrzymując oddech, by

go na sobie przekręcić. Udało się - ale purpurowa z wysiłku padła na łóżko, aby odpocząć.

Pomyślała o cienkich jak u osy taliach kobiet sprzed ponad stu lat. Oj, nic dziwnego, że nasze praprababki nieustannie mdlały. Po prostu z braku powietrza. Lecz kiedy tortura sznurowania skończyła się i wszystko było na swoim miejscu, Gypsy stwierdziła, że warto było poświęcić się dla tak bezlitosnej mody. Efekt był wspaniały!

Suknia szyta była z czarnego jedwabiu; przy każdym, najmniejszym nawet poruszeniu szeleściła ciepło. Sztywno nakrochmalone spódnice rozpościerały się szeroko. Kontrastowała z nimi ponętnie szczupła talia. Stanik kończył się bardzo nisko, odsłaniając dekolt i ramiona. Naciskał od dołu na piersi, formując je kształtnie i uwypuklając ich krągłość. Zdawało się, że wystarczy jedno głębsze westchnienie, jeden pełniejszy oddech - i biust wychynie z tego ciasnego kielicha. Lecz Gypsy nie obawiała się głębszych westchnień - i tak ledwo mogła oddychać.

Teraz zajęła się makijażem. Piękny strój wymagał pięknej twarzy. A gdy już wszystko było skończone i Gypsy przejrzała się w lustrze - stwierdziła, być może nieskromnie, że całość jest doprawdy olśniewająca.

Usłyszała pukanie do drzwi. W pośpiechu narzuciła na ramiona długi płaszcz.

„Nie straszmy człowieka od samego progu” - pomyślała żartobliwie.

Otworzyła drzwi i obejrzała Chase'a od stóp do głów. Czarne botki na wysokim obcasie, płytki, czarny kapelusz z prostym, szerokim rondem, obcisłe spodnie i krótką, czarna kamizelka. Któż to na Dzikim Zachodzie nosił szpadę? Oczywiście - Zorro.

- Oho, coś mi się wydaje, że od dziś wszystkie drzewa w okolicy będą nosiły znak „Z”. '

- Nie drzewa, ale każdy, kto cię obrazi, pani - Chase skłonił się głęboko. - Muszę przyznać, że bardzo ci dobrze w czerni. A... czemu twoje oczy są zielone?

- To dzięki szmaragdom - dotknęła palcem kolczyka. Uśmiechnęła się z wdzięcznością. - Dziękuję ci. Jesteś bardzo miły.

- Doprawdy, cała przyjemność po mojej stronie. No to... jedźmy już. Powiedz mi tylko, co zrobiłaś z moimi kluczami?

Przez następne pół godziny Gypsy szukała kluczyków po całym domu. Wreszcie znalazła. Były w kieszeni džinsów. Wysiadając z samochodu po powrocie z Portland, schowała je jak swoje i całkiem o nich zapomniała.

Bal maskowy odbywał się w hali sportowej niedaleko miasta. Mimo stosunkowo wczesnej pory panował w niej spory rozgardiasz. Stłoczona w rogu niewielka orkiestra z zapalem wygrywała hałaśliwe, pseudojazzowe kawałki.

Poszli do szatni. Gypsy zdjęła płaszcz i odwróciła się do Chase'a:

- Boże! I my mamy tańczyć przy tej kociej muzyce?

Nie odpowiedział jej. Otworzył usta i wytrzeszczył zabawnie oczy. Wrażenie było piorunujące. Dziewczyna uśmiechnęła się, zadowolona.

Chase podał jej ramię i poprowadził do ustawionych pod jedną ze ścian stolików z napojami. Gypsy z wdzięcznością przyjęła lekkiego drinka, za to stanowczym gestem odsunęła od siebie talerz.

- Nie, nie. Dziękuję. Nie będę nic jadła.

- Dlaczego? Co się stało?

- E, nieważne. Powiem ci innym razem - pomyślała o wyczerpującej samotności z gorsetem.

- Nie, powiedz mi teraz. Umieram z ciekawości.

- Lepiej uważaj na swoją szpadę. Dźgnąłeś króla Ludwika w łydkę.

- Aha, to dlatego tak mi się przyglądał. Gypsy, nie wykręcaj się! Dlaczego nie chcesz nic jeść? Rozejrzała się, czy nikt nie podsłuchuje.

- Bo mam na sobie gorset. - Co?

- Gorset. Jest taki ciasny, że ledwie mogę oddychać. A co dopiero jeść!

Chase gapił się, jakby nie bardzo rozumiał. W końcu odstawił szklanę, przysunął się i objął Gypsy w talii.

- O, rzeczywiście. Jesteś dużo, dużo węższa.

- Wspaniała, nie ma co! Dla mnie bomba! - zawołał jakiś mężczyzna za nimi.

Chase jak oparzony puścił dziewczynę i odwrócił się. Znow dźgnął przy tym szpadą króla Ludwika w łydkę (może zresztą był to inny król Ludwik). Stojący za nimi wysoki mężczyzna zbliżył się.

- Jake! Słyszałem, że budujesz coś w Teksasie?

- Już dawno skończyłem, stary byku.

Chase dokonał prezentacji. Jake Thomas był jego kolegą z firmy budowlanej. Gypsy wydał się wielce oryginalny. Wielki jak niedźwiedź, jowialny, dobrał sobie odpowiedni strój: kostium drwala. W ślad za Jake'em podeszła do niego czarna kocica. Wyróżniała się tym, że przez cały czas trzymała w ręku swój ogon. Inaczej wszyscy by po nim deptali. Była, co ciekawe, blondynką o jasnoniebieskich oczach, wzrostu Gypsy, lecz drobniejszej figury.

Jake przedstawił Gypsy swą narzeczoną, Sarę Foxx. Sara widać znała już Chase'a, bo wspięła się na palce i poufale cmoknęła go w policzek.

Była psychologiem. Gypsy od razu poczuła do niej zaufanie. Szybko znalazły wspólny temat.

Chase westchnął przeciągle. • - Jeśli natychmiast nie przestaniecie narzekać na przywary rodu męskiego, to ja i Jake nie tańczymy.

- Ależ proszę bardzo - odparła Sara. - Tańczcie, tańczcie. Co prawda będzie to wyglądało trochę śmiesznie, ale skoro się upieracie...

Chase czym prędzej złapał Gypsy za rękę.

- Chodź, Gypsy, zatańczymy. Inaczej ta pijawka położy nas wszystkich na kozetce w gabinecie lekarskim.

Pociągnął ją na parkiet. Orkiestra właśnie grała sentymentalnego walca. Jeszcze zanim Gypsy i Chase zaczęli tańczyć, tłum dookoła nich znacznie się przerzedził; tu i ówdzie rozległy się nawet okrzyki oburzenia i stłumione przekleństwa.

- Chase, będziesz chyba musiał odpiąć tę szpadę.

- Co? Zorro bez szpady? Nie kpij sobie ze mnie.

- Zobaczysz, wyrzucą nas.

- Nie wyrzucą. Musieliby nam zwrócić pieniądze, a to jest bal dobroczynny.

- Narobisz sobie wrogów.

- No to będziemy tańczyć w romantycznej ciszy.

- W romantycznej ciszy? Przekleństwa zaraz zagłuszą muzykę! O, znów dźgnąłeś króla Ludwika. Chase...

- Dobrze już, dobrze. Zdejmę ją. Ale obiecaj, że pójdziesz ze mną do szatni. Jeszcze mi cię ukradną.

- Któż miałby to zrobić?

- Król Ludwik. Z zemsty.

Rozdział 6

Król Ludwik najwyraźniej jednak nie myślał o zemście. Wręcz przeciwnie: przez cały czas trzymał się jak najdalej od Gypsy i Chase'a. A oni tańczyli, bawili się, paplali z Jake'em i Sarą.

Bal skończył się o północy. Chase zaprosił przyjaciół do siebie na niedzielę wieczór, na ognisko. Pożegnali się, po czym Jake i Sara poszli do hotelu, gdzie wynajmowali pokój, a Gypsy i Chase wsiedli do samochodu i pojechali do domu.

W drodze milczeli; był to ten rodzaj milczenia, który zapada, gdy siedzi się obok bliskiego sobie człowieka. Żadne z nich nie starało się sztucznie ożywić atmosfery. Było im dobrze. Gypsy bujała myślami w obłokach. Od czasu do czasu burczało jej w brzuchu - od śniadania nie miała nic w ustach. Przeklinała w duchu krępujący ją, okropnie niewygodny gorset. Ciekawe, jak się od niego uwolni?

Hmm, rozwiązanie nasuwało się samo przez się - lecz miało jedną poważną wadę. Było bardzo niebezpieczne. Takie igranie z ogniem łatwo mogło się źle skończyć. Podczas balu Chase skradł jej całusa, a ona była zbyt rozbawiona i zbyt zaskoczona, by oponować. Było w tym pocałunku tyle gorączkowej namiętności, tyle płomiennej, długo powstrzymywanej pasji, że dotąd czuła jego żar na ustach.

Chase zatrzymał wóz przed swoim domem, a potem odprowadził Gypsy. Otworzyła drzwi.

- Na dziś koniec z zabawą? Czy może zaprosisz mnie do środka.

- E, jeszcze wcześniej. Chodź. Wyświadczysz mi pewną przysługę. Weszli do pokoju. Chase rzucił swój czarny płaszcz na krzesło.

- Przysługę? Jaką przysługę? Jestem do dyspozycji.

- Dziękuję. To... bardzo delikatna sprawa.

- Tym lepiej - w mgnieniu oka znalazł się przy niej i wziął ją w ramiona. Uśmiechnął się tajemniczo i prowokująco. - Choć muszę powiedzieć, że co innego mi teraz w głowie niż dżentelmeńska przysługa.

- Chase...

Pocałował ją i Gypsy natychmiast zapomniała o swojej prośbie. Bo czyż znalazłaby się kobieta, która nie chciałaby wciąż od nowa kosztować smaku płomiennych ust mężczyzny? Zanurzył palce w kruczoczarnych, kręconych lokach, a ona objęła go ramionami i przycisnęła do siebie z całej siły. Ich usta były stworzone dla siebie; na ten krótki czas znów zaznały raju zmysłowej, namiętnej pieszczoty. Początkowa delikatność Chase'a, nagrodzona spragnioną odpowiedzią dziewczyny, przerodziła się w burzę złąknionej niecierpliwości.

Jakżeż rozkoszna była to chwila! Gypsy zapamiętała się, rozsmakowała w słodczy najszybszych doznań. Chase muskał jej obnażony kark, łaskotał leciutko za uchem, głaskał po plecach... Wilgotne, gorące usta uwodziły już, porywały, wyzwalały; Gypsy nie pamiętała, nie chciała już pamiętać o niczym innym.

Zadzwonił telefon.

Postanowiła, że nie odbierze. Nie odbierze, choćby nie wiem co. Ale dzwonek dźwięczał uparcie. Chase podniósł w końcu głowę i jęknął żałośnie:

- O Boże! W takiej chwili!

Tak trudno, tak bardzo trudno było jej się otrząsnąć - ale musiała. Oczarował ją, omamił bez reszty. Potrząsnęła głową. Niechętnie podeszła do telefonu.

- Halo? - odezwała się cicho.

- Mmm, nie było cię - męski głos w słuchawce brzmiał szorstko, z wyrzutem. Natychmiast przerwała połączenie. Omal nie przytrzasnęła sobie placów.

- Jezu, tylko nie to - szepnęła do siebie przerażona.

A więc... a więc przez cały czas dzwonił do niej jakiś wariat, a ona myślała, że to..

- Kto to? - Chase podszedł do dziewczyny i pogłaskał ją po plecach.

- Nic, nic... to pomyłka. - Stała do niego tyłem, więc na szczęście nie widział jej twarzy. Powiedział wesoło:

- Uff, nie zazdroszczę tym, którzy przypadkiem łączą się z tobą. Temu facetowi jeszcze chyba huczy w uszach.

Telefon znów zadzwonił.

Gypsy zamarła. Nie była w stanie podnieść ręki. Patrzyła na aparat z przerażeniem.

- Ale uparty - Chase wyciągnął rękę. - Chcesz, żebym...

- Nie! - czym prędzej chwyciła słuchawkę. - Halo?

- Kochanie moje. Czemu...

- Nie teraz! Teraz nie mogę rozmawiać! - przerwała ostro i rozłączyła się.

Zapadła przeraźliwa cisza. Chase nie poruszył się ani nie odezwał. Gypsy bała się odwrócić.

- Gypsy, czy mogę cię o coś zapytać? - powiedział w końcu. Głos miał raczej chłodny. - Nie.

Rozpaczliwie szukała w myśli czegoś, co mogłoby odwrócić jego uwagę. Ach, czemu, czemu czuje się taka winna? Cholera, cholera jasna! Jeśli nie Chase - to któż w takim razie do niej wydzwaniał?

- A... Chase, a co do tej przysługi...

- Zapomniałem. Rzeczywiście, przecież mnie prosiłaś... - Mówił zbyt grzecznie, zrozumiała to od razu. - A więc o co chodzi?

Zamknęła oczy, modląc się w duchu. Wóz albo przewóz. Za chwilę się rozstrzygnie. Zmusiła się do uśmiechu, odwróciła się i spojrzała Chase'owi w oczy.

- Chcę cię prosić, żebyś mi pomógł zdjąć suknię. Tak. To odwróciło jego uwagę.

Zamrugnął oczami. Na jego twarzy widziała walnę, jaka się w nim toczy. I nagle uśmiechnął się. Oczy mu zabłyśły. Wygrała!

- Obawiam się, że sama sobie nie poradzę. Suknia zapina się na haftki, a gorset... przy sznurowaniu porobiły się supły. Założyć to jeszcze pół biedy, ale później zdjąć!...

Usiadł na poręczy kanapy i serdecznie się roześmiał.

- Nawet sobie nie wyobrażasz, jakie to niewygodne. A ty się śmiejesz. Zasłonił dłonią usta.

- Och, przepraszam. Tragiczny Cyrano de Bergerac, romansując z tobą, nie powstrzymałby się od śmiechu!

- Taak? - spojrzała groźnie.

- A tak.

Objął ją w talii i przyciągnął do siebie. Spódnica Gypsy, sztywna i rozpięta szeroko na fiszbinowych wkładkach, przekrzywiła się i uniosła z tyłu, kołysząc się komicznie jak do połowy uniesiona kurtyna w teatrze. Dość osobliwy był to teatr...

Oboje parsknęli śmiechem.

Gypsy spojrzała na Chase'a z udaną pretensją.

- To przez ciebie, niezdaro.

- Owszem - odparł z dumą.

- Słuchaj uważnie, co ci powiem. I wstydz się, nieuku. Otóż wiedz, że takie rzeczy nigdy, ale to nigdy nie miały prawa się zdarzyć. Widziałam to na filmach.

- Na filmach - Chase usiłował zachować powagę.

- Kobiety wcale nie cierpiały, nosząc takie suknie.

- Broń Boże.

- Nigdy nie zadzierały im się krynoliny. Ani nie musiały wkładać gorsetu tył na przód. Chase potakiwał. Przygryzał przy tym wargę, żeby znów nie parsknąć śmiechem.

- A już tym bardziej nigdy nie prosiły mężczyzn, żeby pomogli im się z gorsetu uwolnić. - Na moment zawiesiła głos, po czym dodała: - No, oczywiście, zdarzały się wyjątki.

- Oczywiście.

Nie wytrzymał i wybuchnął niepohamowanym śmiechem. Aż spadł z poręczy - na szczęście na miękkie poduszki. Pociągnął przy tym dziewczynę za sobą. Nakrochmalone spódnice zafurkotały w powietrzu i opadły powoli, wzdęte jak spadochron. Gypsy i Chase zaśmiewali się do rozpuku.

Po krótkiej walce ze stosami czarnego jedwabiu Gypsy zdołała usiąść na brzegu kanapy.

- Proszę, rozepnij wreszcie tę suknię! Nawet śmiać się w niej nie mogę.

Chase uniósł się na łokciu i począł majstrować przy haftkach. Uporał się z nimi zadziwiająco szybko.

„Ha, mężczyźni mają jednak zręczne palce. Szkoda, że wyłącznie do rozpinania” - pomyślała Gypsy.

Czym prędzej wstała i podciągnęła obfite fałdy do góry. Szarpiąc niecierpliwie, ściągnęła je przez głowę. Uff, trochę ulżyło! Niedbale rzuciła suknię na krzesło. Odsapnęła i spojrzała na Chase'a.

No tak, tego się można było spodziewać. Chase turlał się po kanapie i kwiczał ze śmiechu. To tak zachowuje się mężczyzna, kiedy na jego oczach rozbiera się młoda kobieta?

Opuściła ręce i stuknęła palcami o coś twardego. Spojrzała po sobie - i zrozumiała, co go tak bawi. Rzeczywiście, widok niewiasty w suto marszczonych reformach, fiszbinowym stelażu krynoliny i gorsecie nie zdarza się często.

- Sądziłam, że mężczyźni raczej lubią damską bieliznę - zauważyła cierpko.

Chase dusił się ze śmiechu.

- Zdejmij to z siebie - wykrztusił z trudem. - Gypsy, proszę, zdejmij to. Nie wytrzymam, za chwilę chyba pękne! - złapał się za brzuch.

Pokiwała z politowaniem głową. Krótki stelaż nie nastreczał zbyt wielu kłopotów i Gypsy sprawnie się go pozbyła. Usiadła na kanapie plecami do Chase'a. On także usiadł, ocierając załzawione ze śmiechu oczy.

- Szkoda, że twoja szpada została w samochodzie - przypomniała sobie.

- Tak, rzeczywiście, przydałaby się. Cóż, nie wiedziałem, że będziesz miała takie trudności. Zrzuciła czarne botki i westchnęła żałośnie:

- Bądź tak dobry i pospiesz się. Jeśli zaraz nie zaczerpnę powietrza, będę pierwszą w dwudziestym wieku ofiarą gorsetu.

Chase zabrał się do rozsypywania węzłów.

- Pierwszą w dwudziestym wieku?

- A tak. Nikt mnie nie przekona, że wcześniej to się nie zdarzało. Boże, czego kobiety nie zrobią dla mody!

- Taak? A może chciałybyś ponosić szpadę?

- Nie, nie, dziękuję." To zresztą zupełnie co innego. Szpadę nosiło się dla obrony, a nie dla mody. Któraż kobieta mogłaby się obronić gorsetem?

Chase szarpał sznurówki, szturchając przy tym Gypsy w plecy.

- Zawsze to coś. Nie mam pojęcia, dlaczego rodzaj ludzki całkowicie nie wymarł po wprowadzeniu tak pancерnej mody.

- Ostrożnie, mógłbyś trochę uważać - jęknęła Gypsy. - Oooch!

- Przepraszam. Może naprawdę pójdę po szpadę. No, jak teraz? Możesz choć trochę odetchnąć?

- Żartujesz chyba. Proszę cię, pospiesz się.

- Boże, nawet Cyrano uznałby tę walkę za beznadziejną - mruknął Chase. - Jak to się nazywa.

- Haftki.

Przygryzł język. Zaczynały go już boleć palce.

Gypsy założyła ręce do tyłu i splotła je na szyi. Wyprostowała plecy, by ułatwić Chase'emu zadanie.

- Oj, gdyby teraz wszedł tu mój ojciec...

- Tak? To co?

- No bo sam pomyśl: siedzę roznegliżowana na łóżku, a kompletnie ubrany facet z tyłu za mną robi co może, żeby zdjąć ze mnie resztkę odzienia.

- A co? Wolisz spać w gorsecie?

- Cicho, ja tylko myślę na głos. Sądzisz, że łatwo mi siedzieć spokojnie i patrzeć, jak mnie rozbierasz?

- No proszę, do czego to dochodzi! Nawet się nie broni! - powiedział z udanym zgorszeniem.

- Okropne, prawda? I perwersyjne.

- I perwersyjne - westchnął. - Wiesz co, chyba przetnę te sznurówki.

- Nie, nie, nie wolno! To kostium z wypożyczalni!

- No to co? Kupi się nowe.

- Nie, nie można. Tu chodzi o zasadę. Proszę postaraj się jeszcze trochę.

- Łatwo ci mówić. Lubisz patrzeć, jak cierpię, prawda?

- Co? Ty cierpisz?

- A pewnie! Nawet nie wiesz, ile mnie to kosztuje. Każdego wieczora staję na głowie, żeby trzymać ręce przy sobie. A teraz - proszę. Siedzisz tu przy mnie, zdana na moją łaskę i niełaskę, masz na sobie tylko kolczyki i ten przekłety gorset... który, jak widzę, nie sięga zbyt wysoko...

- No, no! Patrz lepiej na sznurówki! - fuknęła. Po raz pierwszy tego wieczora zmieszała się i zawstydziała.

Oczy błysnęły mu wesoło.

- Co to, rumienisz się?

- Wcale nie. To z braku powietrza. Mówiłam ci przecież, że się duszę!

- W takim razie trzeba będzie przeciąć... Oj, już! Ulżyło?

Nareszcie mogła porządnie odetchnąć. Uff, co za ulga! Poczwała się lekko i swobodnie. Z radością poruszyła ramionami.

- Oooch, jak mi dobrze! Powietrze, nareszcie trochę powietrza! Następnym razem, kiedy będziesz mnie zabierał na bal maskowy, przebiorę się za... pisarkę.

Chase zdjął z dziewczyny rozsznurowany gorset i rzucił niedbale na podłogę. Piersi Gypsy osłaniała już tylko jedwabna koszulka.

- Dobrze, będę o tym pamiętał.

Lecz myślał już o czymś innym. Niby od niechcienia położył jej rękę na brzuchu. Przechylił się przez jej ramię i spojrzał głęboko w oczy.

Gypsy umilkła nagle i spoważniała. Serce zabiło jej w piersi gwałtownie. Odwróciła się do Chase'a.

Musnął ją wargami, leciutko, z drżeniem... i oto Gypsy spostrzegła, że uśmiecha się rozbawiony. Zezłościła się nie na żarty. Chase zamknął oczy i oparł czoło na jej ramieniu.

- I ty mi mówisz o Cyranie... - zaczęła z wyrzutem, lecz naraz dotarło do niej, czemu tak się uśmiecha. Burczało jej w brzuchu. Pusty żołądek podnosił raban.

Zrobiło się jej głupio, że źle zrozumiała zachowanie Chase'a. Chyba się nie obraził?

- Przepraszam - mruknęła zmieszana. - Od śniadania nie miałam nic w ustach.

Chase wstał i, śmiejąc się ciągle, podał dziewczynie rękę. .

- Chodź, moja Paulino. Nie wiem, co tam masz w tej twojej wiecznie pustej lodówce, ale może...

- W mojej wiecznie pustej lodówce mam mnóstwo, mnóstwo jedzenia. - Pociągnęła go do kuchni, nie bacząc na swój bardzo już skąpy strój. - Dziś po południu zadzwoniłam do sklepu spożywczego. Pomyślałam, że może po powrocie będziemy głodni. Proszę bardzo. Coś z kuchni chińskiej?

- Co? O drugiej w nocy? - usiłował oponować Chase.

- A co w tym złego? Kiedy ty jadasz chińskie potrawy? - spytała, gorączkowo przewracając w lodówce puszki i pudełka.

Chase westchnął ciężko.

- Proszę, weź ten dzbanek z herbatą.

- Herbata w sobo... A, prawda, mamy już niedzielę. A ja myślałem przez chwilę, że zmieniałś zwyczaje.

- Może pasztecika z jajkiem?

- Chętnie. Widzę, że z moich planów na wieczór nici. Miały być paszteciki z jajkiem.

- O, przykro mi.

- Nic nie szkodzi. Możesz mi podać sos sojowy?

Przez następne pół godziny porozumiewali się wyłącznie gestami. Jedli, aż im się uszy trzęsły. Gypsy rozkoszowała się tym, że po wielu godzinach może nareszcie do woli napełnić i płuca, i żołądek.

- Gypsy?

- Mmm?

- Czy możesz... zapiąć górny guzik?

Zdumiona spojrzała po sobie. Jedwabna koszulka rozpięła się na piersiach, eksponując wdzięki Gypsy śmieiej jeszcze niż, głęboki przecież, dekolt sukni.

- Nie, żebym nie lubił patrzeć... Tylko po co do niestrawności, jaka mnie niechybnie czeka, dodawać niepokój serca? Ta noc i tak będzie bezsenna. Ale mimo wszystko trzeba będzie ją przeżyć.

Gypsy pospiesznie zapięła guzik.

- O, przepraszam.

- Nic nie szkodzi.

Chase wstał i bez słowa wyszedł z kuchni. Wrócił z jej płaszczem. Zarzucił go dziewczynie na ramiona.

- Tak będzie lepiej - wyjaśnił.

Okryła się szczelnie. Chyba nie myślał, że go specjalnie drażni? Zmieszała się.

- Chase, przepraszam cię. Naprawdę nie chciałam... Z uśmiechem machnął ręką.

Skończyli jeść w milczeniu. Potem Gypsy odprowadziła gościa do drzwi. Dziwnie się czuła. Może Chase był rozczarowany tak nieoczekiwanym zakończeniem wieczoru? Jakże mogła być tak nieskromna?!

- Pamiętaj o ognisku jutro... to jest, dzisiaj. Jake i Sara przyjadą o trzeciej.

- Pamiętam - kiwnęła głową.

- Moja Gypsy. To był... naprawdę wspaniały wieczór - Chase uśmiechnął się ciepło. - Boże, nigdy w życiu tak się nie bawiłem. Czy... ktoś ci już mówił, że jesteś niezwykła?

- Nie - odparła. Ucieszyła się, bo najwyraźniej nie czuł się dotknięty. Pochylił się, pocałował ją i szepnął:

- Ależ śliczna jesteś w tej luźnej koszulce! Pomachał ręką i zniknął w mroku.

Gypsy powoli zamknęła za nim drzwi. Pokręciła głową i roześmiała się cicho. Wróciła do kuchni, żeby choć z grubsza posprzątać. Wpuściła do domu Pirata i Bucefała i dała im jeść. Kot prychnął na nią, oburzony, że tak długo kazano mu siedzieć na dworze. Ale Gypsy nie zwracała sobie nim głowy. Jej myśli zajęte były kimś innym. Kimś niezwykłym.

- Odłożyłaś słuchawkę - powiedział głos ze smutkiem.

Gypsy przetarła zaspane oczy. Zerknęła na budzik. Spała pół godziny.

- Kim pan jest? - spytała, zła raczej niż ciekawa.

- Kochana moja, jestem na zawsze twój...
- Proszę natychmiast przestać! - warknęła.
- Gniewasz się na mnie?
- A jak pan sądzi? Jakiś wariat wydzwania do mnie późną nocą, a ja mam skakać z radości?
- Ostatnie nocy to ty...
- Ostatniej nocy - przerwała mu - myślałam, że wiem, kim pan jest.
- Ależ ty wiesz, kim ja jestem - głos szepnął uwodzicielsko. - Co noc spotykamy się w twoich snach...
- Przestań! Proszę przestać!
- Jesteś moja, moja.
- Zaraz zadzwonię na policję.
- Moja.

Gypsy trzasnęła słuchawką.

Telefon zadzwonił prawie natychmiast. Czekala, aż przestanie, ale na próżno. W końcu zdecydowała się odebrać. Boże, po co się w ogóle w to pakowała?

- „Oto dzień wstaje, serce płacz rozdziera...”
- Dostyc już tej poezji!
- Moja miła, jesteś okrutna.

Gypsy, zrezygnowana opuściła rękę. Kimkolwiek był ten mężczyzna - zaufała mu. Otworzyła przed nim serce. Czula, że to, co mówi, jest szczere. Że i on się przed nią otworzył. Że nigdy z nikim tak otwarcie nie rozmawiał.

„To musi być Chase! - przemknęło jej przez głowę. - Ale jak to możliwe? Nie, to bez sensu!”

- Przestań do mnie dzwonić - poprosiła.
- Przestać do ciebie dzwonić? A czy możesz mnie prosić, bym przestał oddychać? To dla mnie to samo, kochana. Umarłbym. Kocham cię, najdroższa.

- To przestań mnie kochać. Ja... kocham kogoś innego - powiedziała cicho i odłożyła słuchawkę. Wyszła z łóżka i, nie

zapalając światła, włożyła spodnie i bluzkę. Wychodziła z pokoju, kiedy telefon zadzwonił. Przyspieszyła kroku.

Wzięła ze sobą Bucefała, ot tak, na wszelki wypadek. Wyszła kuchennymi drzwiami i poszła na plażę. Usiadła na kamieniu. Pies położył się u jej stóp.

Patrzyła na zalany księżycowym światłem bezkres oceanu. Słuchała spokojnego, jednostajnego szumu fal, bijących łagodnie o brzeg. Spojrzała w gwiazdy. W jej oczach zaszklily się łzy.

Myślała o swojej miłości do Chase'a.

Na ognisku u Chase'a, Gypsy nie czuła się najlepiej. Być może z powodu kataru, który złapała, spędziwszy całą prawie noc na wilgotnej i wietrznej plaży. Albo też z powodu niewyspania.

„A może są to ostatnie próby obrony w ostatecznie już przegranej wojnie?” - pomyślała.

Chase i dwójka jego przyjaciół szybko zauważyli, że dziewczyna jest jakaś nieswoja. Gypsy zdawała sobie z tego sprawę, ale nie próbowała udawać, że wszystko jest w porządku. Chase żartował, a ona milczała ponuro. Siedziała naburmuszona, spięta. Sztywniała cała przy najlżejszym nawet dotknięciu.

Gospodarz niepokoił się zachowaniem swojego gościa. Od czasu do czasu zerkał na nią, pytał, co się stało i czy przypadkiem coś jej nie dolega. Nie odpowiadała, uśmiechała się wymijająco, zmieniała temat.

Jedli pieczone ziemniaki i żeberka z rusztu. Potem mężczyźni poszli pozmywać naczynia. Do Gypsy przysunęła się Sara i objęła ją ramieniem.

- Wybacz, jeśli zabrzmie to banalnie, ale widzę, że pomiędzy tobą a Chase'em wyrósł jakiś mur. Kłóćcie się? A może... jestem zbyt niedyskretna?

Gypsy odwróciła głowę.

- Nie, to nie to... - odparła cicho.

Sara milczała. Po chwili odezwała się z lekkim wahaniem:

- Może nie powinnam... cóż, to takie moje zawodowe przyzwyczajenie. Gypsy, może będę mogła ci pomóc?

- Kozetka w gabinecie lekarskim? - Gypsy uśmiechnęła się słabo.

- Dla przyjaciół w potrzebie zawsze wolna. - Ku zaskoczeniu dziewczyny pani doktor wyjęła z kieszeni paczkę papierosów i zapalniczkę.

- Okropny nałóg. Poczęstujesz się?

- Chętnie. Dzięki.

- Myślałam, że nie palisz?

- Rzuciłam trzy lata temu.

- Aha. A teraz...?

- Czy to już początek terapii? Sara z uśmiechem kiwnęła głową.

- Chyba po prostu potrzebuję psychicznej podpórki. Przynajmniej na jakiś czas.

- Po co?

- Żeby się nie przewrócić. Prawdę mówiąc, sądzę, że jest już na to za późno.

- „Nie przewrócić”, to znaczy: nie zakochać się?

- Powiedz mi, czy to ty jesteś taka domyślna, czy po mnie po prostu wszystko widać?

- Jedno i drugie. Patrzysz na niego, kiedy on nie patrzy. Zauważyłam to od razu. Jestem przecież kobietą. - Sara zaciągnęła się papierosem. - Boisz się? - raczej stwierdziła niż spytała.

- Mało powiedziane. Jestem przerażona - wyszeptała Gypsy i spojrzała Sarze w oczy.

- Czemu? Chase to wspaniały facet - Sara uśmiechnęła się przyjaźnie. - Znam go dłużej niż Jake'a. To Chase poznał nas ze sobą. Nie, nie - uprzedziła pytanie, który Gypsy i tak

bałaby się zadać. - Pomiedzy Chase'em a mną nigdy nic nie było. Jesteśmy przyjaciółmi, po prostu przyjaciółmi. Jak sięgnę pamięcią, zawsze tak było. Posłuchaj, znam go dobrze. I widzę, że mu na tobie zależy.

Gypsy zdusiła obcasem papierosa.

- On bardzo długo był sam - ciągnęła powoli Sara. - Wychowywał się w niezbyt sprzyjających warunkach... Myślę, że w dzieciństwie nie zaznał dość rodzinnego ciepła. Nie zrozum mnie źle. On i jego ojciec są ze sobą bardzo blisko. Ale brakowało mu prawdziwie domowej atmosfery. Nigdy nie żył jak inne dzieci: hałaśliwie, beztrosko, z rozmachem. Nie mógł sobie pozwolić na brak rozwagi. I chyba nigdy w życiu nie był lekkomyślny. Gypsy uśmiechnęła się.

- Może zresztą się mylę - powiedziała Sara, patrząc na nią badawczo. - Gypsy, wiem, że jesteś dla niego dobra. Pasujecie do siebie.

Pacjentka poruszyła się niespokojnie. Czy właśnie to chciała usłyszeć? A może w ogóle nie powinna rozmawiać o tym z Sarą?

- Jest teraz zupełnie inny. Dzięki tobie - Sara mówiła tonem spokojnym i pewnym. - Wieczorem na balu był taki swobodny, taki pogodny... szczęśliwy. Nigdy go takim nie widziałam. Patrzył w ciebie jak w tęczę.

- Proszę cię...

- O co chodzi?

- O mnie - odparła dziewczyna. - To ja zniszczę ten związek. Bardzo się tego boję. Chase nie wytrzyma ze mną.

- Dlaczego?

Gypsy uśmiechnęła się smutno.

- To przez moje pisanie. On tego nie rozumie... hmm, ty zresztą chyba też nie zrozumiesz. - Zawahała się. - To coś w rodzaju... obsesji. Napada mnie nagle, znienacka. Pochłania

mnie całkowicie, nie mogę myśleć o niczym innym, tylko o tym, co powinno zostać napisane i jak. To może trwać kilka dni, a czasem nawet i kilka tygodni. - Roześmiała się. - Miałam kiedyś przyjaciółkę, która studiowała psychologię. Mawiała zawsze, że są we mnie dwie zupełnie różne osoby.

- Nie, to nieprawda - odparła Sara z przekonaniem. - Masz po prostu wybitnie twórczy umysł. Ten sposób pracy nie jest częsty, to prawda, lecz nie jest też wyjątkiem. Znałam kilku pisarzy, wierz mi. - Gypsy spojrzała z zaciekawieniem. Sara wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się. - Twórcze zmagania człowieka z twórczym interesują naukę nie od dziś... Co prawda, głównie tę uprawianą w akademiach. Lecz i prowincjonalny, prowadzący praktykę psycholog też ma swoje zainteresowania i coś do powiedzenia na ten temat. W każdym razie wśród tak zwanych zawodów artystycznych nie jesteś wyjątkiem, zapewniam cię.

„Dość szczególne to wyjaśnienie - pomyślała Gypsy. - Gdyby pominąć te zawody artystyczne, można by to, co ona o mnie mówi, ująć słowami: nienormalna normalnie”.

- No dobrze - odezwała się. - Ale czy Chase będzie mógł... przystosować się do takiej gorączki? Czy zniesie tę ciągłą huśtawkę nastrojów? Sara, wiem, że jestem jędzą. Od kiedy zaczęłam pisać, nie mogą ze mną mieszkać nawet moi rodzice. Do tego jeszcze, poza pisaniem, nie mam absolutnie żadnych zdolności. Nie umiem gotować, nie znoszę prac domowych, jestem nieporządna i niechlujna ponad wszelką miarę.

- Zauważyłaś, żeby to przeszkadzało Chase'owi? - spytała spokojnie Sara.

- Nie. Ale my przecież nie mieszkamy razem.

- Założę się, że prawie.

- Owszem. Mimo wszystko to nie to samo.

- Słusznie. Coś ci powiem Gypsy; być może poczujesz się tym dotknięta. Otóż uważam, że najpierw zrywasz wszystkie mosty, a potem szukasz wyjścia.

Dziewczyna westchnęła ciężko.

- Myślisz więc, że wszystkie te przeszkody nie są aż tak straszne? Że powinnam jednak spróbować?

- Tak. Zdecydowanie tak.

- Może. Pomówmy teraz o innym, równie banalnym problemie. Boję się, że ta miłość mnie zrani.

- A, to co innego. Ale pomyśl: czyż nie jesteś człowiekiem, ze wszystkimi tego faktu konsekwencjami? Człowiek jest istotą tragiczną. Być może żyje właśnie po to, by cierpieć.

- A więc powinnam zamknąć oczy i śmiało zanurzyć się w życie?

- Albo to zrobisz, albo zostaniesz na uboczu, bezpieczna wprawdzie, lecz zawsze sama. I przez resztę swoich dni będziesz rozmyślać, czy rzeczywiście warto było. - Sara umilkła, ale po chwili odezwała się znowu: - Pewien mężczyzna wyznał mi kiedyś w gabinecie, że, co prawda, poniósł w miłości klęskę, lecz jego miłość warta była nawet tego. On wiedział, co mówi. Ale ty, ty nie przegrasz. Z pewnością nie przegrasz.

- Skąd wiesz?

- Zobacysz. Chase błyskawicznie przystosuje się do twojego trybu życia. On jest... jak zbłąkany kot. Wystarczy go przygarnąć. Będzie z tobą szczęśliwy nawet wtedy, gdy będziesz dla niego szorstka. Wiem, że tak będzie. Czegóż więcej trzeba?

Kobiety spojrzały sobie w oczy i uśmiechnęły się serdecznie.

- Dobrze, pani doktor. Ale póki co, czy może pani zarezerwować dla mnie kilka seansów na kozetce? Może będą mi jeszcze potrzebne - powiedziała Gypsy.

Sara roześmiała się.

- Oczywiście, oczywiście. Jednak nie sędzę, żebyś ich kiedykolwiek potrzebowała. A teraz ogłaszam koniec wizyty. Chodź, dołączymy do męskiej części stada. Jake musi kłąć w żywy kamień: zmywania nie znosi chyba jeszcze bardziej niż ja.

- Ale na pewno nie bardziej niż ja.

- Widzisz? To jeszcze jeden powód, żeby się trzymać Chase'a. Łatwo będzie z nim żyć.

- O tak. Liceum wojskowe robi swoje.

„Męska część stada” powitała dziewczyny z radością.

Rozdział 7

Gypsy odprężyla się nieco. Ciagle jeszcze byla powazna i zamyślona, lecz teraz już odnosila się do Chase'a z dawną serdecznością. Nie boczyła się, gdy jej dotykał. Około piątej po południu zachmurzyło się i zaczął siąpić deszczyk, który wygonił towarzystwo z ogrodu. Przyjaciele rozsiedli się w salonie Chase'a, gwarząc o tym i owym. Okazało się, że Sara ma niezwykle talent mimiczny. Jej niemą interpretację „Popołudnia fauna” nagrodzono rześnistymi brawami. Rozpalono ogień w kominku, ponieważ deszczyk przerodził się w gwałtowną ulewę. Jake i Sara poszli oglądać kuchnię. Gypsy i Chase zostali sami.

Dziewczyna milcząc siedziała na kanapie; peszyło ją, że wpatrują się w nią ciekawskie zielone oczy. Chase leżał z głową na jej kolanach. Położyła mu rękę na piersi i poczuła bicie serca. Zapatrzyła się w ogień.

- Moja Gypsy - odezwał się Chase. - Przez cały dzień mam to dziwne uczucie... Spojrzała na niego. Cicho spytała:

- Jakie uczucie?

- Och, trudno to wyrazić - w zamyśleniu gładził jej rękę. - To tak, jakby być Romeem odepchniętym przez Julię. Markiem Antoniuszem wzgardzonym i wypędzonym przez Kleopatę...

Uśmiechnęła się.

- Czuję, że już mnie nie chcesz - wyznał.

W pokoju zapadła cisza. Chase w napięciu patrzył w głębokie, brązowe oczy. Czekał. Gypsy przestała się śmiać. Wolno pokręciła głową.

- Nie. Nie.

Ujął dłoń dziewczyny i przytulił do policzka.

- Tak się cieszę - zielone oczy śmiały się do niej. - Tak się cieszę. Ale... nie dałbym się ot tak, po prostu, odepchnąć i wypędzić. Wiesz o tym - ucałował jej dłoń.

Pogłaskała gęste, brązoworude włosy.

- Nie dałbym się zbyć jednym stanowczym „nie”. Jak ten facet, który dzwonił wczoraj wieczorem... Wiedziała, że Chase wreszcie o tym wspomni, a mimo to przestraszyła się.

- Jaki facet?

- No właśnie: jaki facet? Moja Gypsy, coś mi się zdaje, że nie tylko mnie jesteś nieobojętna.

- Tak ci się tylko zdaje.

- Powiedz mi, kto to był. Proszę.

- Nie mogę. Sama nie wiem.

Widać było, że nie wierzy. Gypsy uśmiechnęła się łagodnie.

- Przysięgam, nie mam zielonego pojęcia. To mój... jakby to powiedzieć... tajemniczy wielbiciel. Dzwoni do mnie co noc.

Przyjrzała się twarzy Chase'a. Nie drgnęła mu nawet powieka. Jeśli udawał, to doprawdy, zasługiwał na Oscara.

- Dzwoniłaś na policję? - Nie.

Dobrze, że nie pytał, dlaczego. Tego nie potrafiłaby wyjaśnić.

- Gypsy...

- Posłuchaj. On jest niegroźny. Zachowuje się przyzwoicie. Nawet go dosyć lubię. Zerknął na nią spod oka.

- Hmm, może i ja powinienem zacząć do ciebie dzwonić... - mruknął zamyślony.

- Może powinienes. Pamiętaj tylko koniecznie o czymś, co zmieni twój głos.

- Co masz na myśli?

Zdziwił się szczerze, czy tylko udawał?

W tym momencie Sara i Jake wrócili z kuchni z wielkim talerzem świeżo prażonej kukurydzy.

Przestało padać dopiero około jedenastej. Po kolacji i niemądrym, lecz zabawnym westernie w telewizji Jake i Sara zdecydowali się jechać do domu.

Chase zaofiarował Gypsy, że ją odprowadzi. W pierwszej chwili poczuła się lekko zawiedziona, zaraz jednak przypomniała sobie poprzedni wieczór. Ha, kto wie, może miał swoje powody...

Wyszli na trawnik. Było parno i duszno, z drzew i krzewów kapwały wielkie krople. Chase zatrzymał się nagle.

- Poczekaj. W tych sandałkach przemoczysz nogi. Wziął dziewczynę na ręce i poniosł ku domowi. Splotła mu ręce na szyi.

- Przepraszam, z kim mam przyjemność? Sir Walter Raleigh czy Biały Rycerz?

- Raczej ten pierwszy. Gypsy udała zawiedzioną.

- Nie będzie płaszcz pod nogi, rzuconego na błoto?

- Nie. Z braku błota. Zresztą płaszcz pochodzi z wypożyczalni.

- Ach, to przecież drobnostka.

- Taak? To ja jestem taki heroiczny, a ty jeszcze wybrzydzasz?

- O, przepraszam. Zapewniam pana, że w pełni doceniam pańskie wysiłki. Sir Walter, proszę mi powiedzieć, jak nazwał pan pańską kotkę?

„Sir Walter” podrzucił Gypsy w ramionach. Niezbyt mu było wygodnie.

- To nie jest moja kotka. To kotka Pirata. W każdej chwili gotów ją jestem zwrócić. Wkrótce zamierzam nawet podjąć odpowiednie kroki.

- Rzeczywiście, rozmawiałam w piątek z listonoszem. Podobno wypytywałeś, czy z któregoś z okolicznych domów nie zginęła biała kotka. Zamieściłeś też ogłoszenie w prasie.

- Prowadzisz wywiad?

Zignorowała pytanie. Kontynuowała:

- I czego się dowiedziałeś? Że jest bezdomna, prawda?
Westchnął ciężko.

- Cóż, teraz już nie.

- Tak myślałam. No więc jak ją nazwiesz?

Chase zasapał się nieco. Nawet taki mężczyzna jak on może się zasapać, niosąc na rękach kobietę, choćby tak filigranową jak Gypsy.

- Po prostu: kotka.

- Pudło. Spróbuj jeszcze raz - zaproponowała. Znow westchnął.

- Aniołek? A niech ją diabli. Parsknęła śmiechem.

- Ach, te błękitne oczy! - zawołała teatralnie. - Każdego zniewolą!

- Czy ja wiem? Faktem jest, że uważa się za prawdziwą królową. Czuję w tym robotę Pirata. Przeniosłem ją z pudła na nowe miejsce, do łazienki. Ale łazienka to zdaje się grubo poniżej jej oczekiwań. Przeniosła kocięta z powrotem do szafy. Znowu więc umieściłem ją w łazience. I od jakiegoś czasu tak się ganiamy w kółko: z szafy do łazienki i z powrotem. Ciekawe, kto pierwszy się znudzi?

- Ja chyba wiem.

Chase skrzywił i podszedł do bardzo, bardzo mokrego żywopłotu. Zakołysał groźnie dziewczyną.

- Taak? No to proszę, powiedz mi.

- Aniołek, Aniołek oczywiście! - zawołała czym prędzej.

- Drogi sir Walterze, jestem jak najlepszego zdania o pańskiej wytrzymałości!

- Jestem pani bardzo zobowiązany, milady.

Weszli na ganek przed domem. Chase ostrożnie postawił Gypsy, ale nie wypuścił jej z ramion.

- Pracujesz jutro?

Ona także nie opuszczała rąk. Obejmowała Chase'a za szyję.

- Tak - kiwnęła głową. - Muszę. Mam spore zaległości.

- Przeze mnie?

- Nie, nie przez ciebie. Piszę teraz rozdziały środkowe, ale muszę też to i owo poprawić w pierwszej części książki. - Zawahała się. Chciała jeszcze coś powiedzieć, lecz uznała, że sam się domyśli.

- Rozumiem. W takim razie wyśpij się dobrze - powiódł palcem pod jej oczami. - Wyglądasz na bardzo zmęczoną.

- Nie, wcale nie jestem zmęczona - powiedziała szybko. Zarumieniła się lekko. Czuła się poddenerwowana, niespokojna - nie, nie sen jej teraz w głowie.

Niestety, dziś wieczór Chase nie palił się do dotrzymania jej towarzystwa.

- Dobrano, moja Gypsy. Pocałował ją... w czubek nosa.

Poszedł. Gypsy oparła rozpalone czoło o zamknięte drzwi. Cholera!

Bucefał trącił ją swym wilgotnym nosem. Odwróciła się. Pies stał przy niej i przyjacielsko machał ogonem.

- Chcesz wyjść?

Przeszła przez dom i otworzyła kuchenne drzwi. Skorzystał z tego Pirat, który smyrgnął do środka.

- Boże, jesteś cały mokry!

Wytarła kota ręcznikiem. Kiedy wrócił Bucefał, dała obojgu jeść. Podeszła do zlewu, ale nie chciało się jej zmywać.

Wzięła prysznic, potem rozczesła mokre włosy i wysuszyła je suszarką. Postąpiła chwilę nago przed lustrem, po czym, pod wpływem nagłej myśli, poszła do sypialni.

Nocna koszula leżała w najniższej szufladzie komody. Gypsy pamiętała, że matka kładła ją tam podczas ostatniej wizyty.

- Może ci się przyda, kochanie.

- Mamusiu, chcesz, żebym, paradując w niej, niepokoiła okolicznych mężczyzn?

- Kto wie, może wcale by od ciebie nie uciekali?

Gypsy wyjęła koszulę z szuflady i włożyła ją przez głowę. Kochana, poczciwa mama! Zawsze miała złote ręce. Koszula uszyta była z białego jedwabiu, tak cienkiego, że prawie przezroczystego. Dość głęboko wcięty dekolt zawiązywało się na tasiemki. Delikatny jedwab zebrany był wdzięcznie w tali, skąd opadał długimi, wąziutkimi plisami.

Do tego peniuar z długimi rękawami, u góry koronkowy, na dole jedwabny, z cieniutkim, atlasowym paskiem.

Gypsy przejrzała się w dużym lustrze wiszącym w sypialni. Na noc wkładała zwykle koszulkę trykotową; powłóczystych i uwodzicielskich koszul nocnych nie znalazłoby się w jej szafie... W tej było dziewczynie bardzo do twarzy. Ciepła biel jedwabiu podkreślała ciemną karnację skóry i lśniąca czerń kruczych włosów. Oczy Gypsy nabrały srebrnego, migotliwego blasku.

Przypomniała sobie jeszcze o czymś: miała tu gdzieś przecież flakonik perfum, których dotąd nigdy nie używała. Przeszukała komodę. Perfumy, gwiazdkowy prezent od ojca, leżały na samym dnie górnej szuflady. Jedna, tylko jedna kropelka za dekolt.

- Jeśli to nie poskutkuje, to zrobisz z siebie kompletną wariatkę - mruknęła pod nosem. Zerknęła na zegarek. Właśnie minęła północ. Gypsy czym prędzej wyszła z sypialni. Wołała w ogóle nie być w domu, gdy zadzwoni jej tajemniczy wielbiciel.

Wyszła kuchennymi drzwiami. Dom Chase'a tonął w ciemnościach, w jednym tylko oknie płonęło słabe światło. Poszła w jego kierunku. Kiedy weszła na strzyżony trawnik -

cała jej odwaga rozwiała się nagle jak poranna mgła pod wpływem promieni słońca.

Zmagala się sama ze sobą i w walce tej czuła się bardzo samotna. Zwolniła kroku; wysokie obcasy lekkich bucików grzęzły w mokrej murawie. Uniosła oburącz skraj długiej koszulki. Wahala się, ale mimo to szła naprzód.

„Co ja mu powiem? Że chcę pożyczyć szklanke cukru? Dobrze sobie, w takim stroju... Nie, nie, żadnej dziecinady. Tu trzeba śmiało, prosto z mostu”.

Minęła ciemny, zmoczony deszczem mur żywopłotu.

„A jeśli cię wyrzuci? Co wtedy? Daj spokój, jesteś już przecież dorosłą kobietą. Nie umrzesz z tego powodu. Najwyżej... wyśmieje cię. Poradzisz sobie. Bywają gorsze rzeczy na świecie.

Tak, tak, poradzisz sobie na pewno. Cholera, zachowuj się jak na dojrzałą kobietę przystało!”

Nagle potknęła się i o mały włos nie runęła jak długa. Spojrzała pod nogi. Oba obcasy urwały się i utkwily głęboko w rozmiękłym gruncie.

Zakleja pod nosem. Schyliła się i zdjęła niewdzięczne buciki. Z wściekłością cisnęła je w ciemność.

- Kobieta, dojrzała kobieta - mruzczała ze złością. - Nie ma co, ładna ze mnie Paulina! Biedny Cyrano przewraca się pewnie w grobie!

Zupełnie już skonfundowana i przybita tym niepowodzeniem, poczęła sobie tłumaczyć, że się do takich śmiałych akcji po prostu nie nadaje. Opuściły ją resztki odwagi. Trudno, nie pozostaje nic innego, jak zdać się na przedsiębiorczość Chase'a. Niech się dzieje co chce.

Poszła zgnębiona na plażę. Owionął ją ciepły wiatr. Szła boso po piasku, dźwigając ciężkie ponad siły brzemię dławiącego gardło i ściskającego serce smutku. Doszła do

kamienia, na którym zawsze siadała... i wtedy zobaczyła biały ręcznik.

Zwykły biały ręcznik. Zwinięty wpół i rzucony niedbale - a więc raczej nikt na nim nie siedział. Machinalnie podniosła go z ziemi. Któż mógł go tu zostawić? Chase! Czyżby pływał w nocy? Sam? Przygnębienie w mgnieniu oka przerodziło się w lodowate tchnienie strachu. Ciarki przeszły jej po krzyżu. Co sił w nogach pobiegła na skraj plaży i poczęła wypatrywać. Drżała z niepokoju i obawy.

Jest! Zobaczyła go z prawej, gdy srebrny owal księżyca wychynał zza chmur i rozświetlił fale oceanu.

Ciemna plama głowy wynurzała się raz po raz, silne ramiona biły rytmicznie wodę. Płynął ku brzegowi, był już niedaleko.

Gypsy stała jak zahipnotyzowana; kiedy wychodził z wody z naturalną, szorstką nieco gracją nagiego mężczyzny - nie mogła oderwać od niego oczu. Szedł zanurzony po uda, ciężko kołysząc ramionami. Każdy ruch jego ciała emanował tajemną, surową siłą, wyzwoloną przez noc, dzikość przyrody, samotność. Słabe światło księżyca kładło się na atletycznym, muskularnym korpusie - wyniosłym, połyskującym matowo, wspaniale swobodnym. Nagi i potężny - był istnym wcieleniem siły, energii i męskiego wigoru.

Gypsy z trudem przełknęła ślinę.

Nie wiedziała, kiedy ją zauważył - w każdym razie podszedł prosto do niej. Wpatrzona w ledwie widoczną w mroku twarz, niemal bezwiednie podała mu ręcznik.

- Nie powinieneś pływać sam - powiedziała, dziwiąc się sobie, że stać ją na taki spokój.

- Tak, wiem - odparł. Ociągając się przewiązał nagie biodra ręcznikiem.

- A mimo to pływasz.

- To coś w rodzaju... zimnego prysznic. Zabawna myśl przyszła jej do głowy. Roześmiała się.

- To nic nie pomaga. Myślę o zimnych prysznicach.

- A co, próbowałaś? - mruknął domyślnie. Wyciągnął rękę i odgarnął z czoła dziewczyny niesforny kosmyk włosów. Kiwnęła głową.

- Tak, próbowałam. Nawet dziś wieczorem. To nic nie pomaga.

Powiódł ręką w dół, zahaczając palcem o tasiemki na dekolcie. Zatrzymał się przy związanym pasku.

- Moja Gypsy. Więc... przyszłaś do mnie, prawda?

Nie wiedziała co powiedzieć. Lecz słowa znalazły się same:

- Tak. Ale po drodze przestraszyłam się.

- Czego?

Przysunął się bliżej; ukryte w cieniu zielone oczy rozjarzały się jakimś magnetycznym, kocim blaskiem.

- Nie... nie wiem. Po prostu, przestraszyłam się. Że... będziesz się śmiał.

- Śmiać się? Z tobą tak. Z ciebie nigdy - odparł poważnie, jakby jej coś przysięgał. Pomyślała, że pewność tych słów jest równie niewzruszona jak wieczny ruch fal oceanu. Palce Chase'a puściły pasek koszuli Gypsy i przesunęły się na jej plecy. Druga ręka musnęła zmysłowo kark i szyję dziewczyny.

- Jesteś piękna. Taka piękna... że myślę, że mi się tylko śnisz. I boję się ciągle, że mógłbym się z tego snu obudzić...

Bezwiednie uniosła ręce i oparła je na jego wypukłej, mokrej jeszcze piersi. Rozsunęła szeroko palce i, przyciskając mocno dłonie do śliskiej, pokrytej zarostem skóry, przesunęła nimi wolno w dół i w górę. Smakowała każdą chwilę, jaka była jej dana. Oblała ją fala gorąca. Księżyc zamącił jej w głowie. Westchnęła głośno.

- Kiedy się obudzisz - szepnęła - obudź i mnie.

Chase wydał gardłowy pomruk i jak dziki kot pochylił się nad dziewczyną. Gypsy przelekła się. Czuła pod palcami, jak jego mięśnie napinają się i tężeją, a całe ciało elektryzuje gwałtowny dreszcz. Błyskawicznie odnalazł jej usta i zniewolił odbierającym rozum pocałunkiem. Dziewczyna objęła Chase'a za szyję i przycisnęła go do siebie z całej siły, a on całował ją nieprzytomnie, żarłocznie, dziko.

Przywarła do niego spragniona, posłuszna jego i swojej namiętności. Oddała mu usta, nieprzytomna, biorąc go chciwie, pijąc z jego warg, ciągnąc go ku sobie, w siebie, jakby się bała, że się rozmyśli. Wplotła palce w jego zachwycające, piękne włosy. Ledwie skosztowała soczystych, jędrnych ust Chase'a - obudził się w niej głód; potęga i żywioł tego uczucia były tak nieprawdopodobne, że aż to ją przerażało, ale i ekscytowało.

Chase uniósł wreszcie głowę. Oddychał głośno, z trudem. Serce waliło mu w piersi; Gypsy czuła pod palcami gorące uderzenia krwi w tętnicy poniżej ucha. Zdała sobie nagle sprawę, że cały drży, i że ona drży także - lecz z pewnością nie z zimna.

- Moja, moja Gypsy. Będziemy się kochać. Pragnę cię bardziej niż możesz to sobie wyobrazić.

Nie znalazła w sobie nic, żadnej siły, która kazałaby jej sprzeciwić się, odmówić - i wcale jej to nie zdziwiło.

Przytuliła się do niego, mocniej ścisnęła za szyję, a potem wspięła się na palce i pocałowała najgoręcej jak potrafiła.

- Chase, Chase - szeptała - nareszcie. Już myślałam, że ty nigdy...

Spleceni ramionami, wzajemnie ofiarowali sobie swą ufność i wieczny głód serc. Chase wziął Gypsy na ręce i ruszył w kierunku domu.

- Chodź. Nie możemy zostać na plaży. Pogryzłyby nas kraby. Uśmiechnęła się tuląc policzek do jego piersi.

Chase wdrapał się na skalisty brzeg, na którym stały ich domy. Szedł rażno, niosąc dziewczynę bez wysiłku, jakby była piórkem. Zatrzymał się przed swoim domem.

- Zostań ze mną, Gypsy. Zostań na zawsze.

Potrząsnęła głową i uśmiechnęła się blado. Kiedy mówiła, łaskotała go w szyję:

- Daj spokój. Pomówimy o tym jutro.

Wydał zabawnie policzki i wesoło spojrział jej w oczy.

- Jutro? Jutro będzie futro. Skoro dziś nie otrzymałem zgody na piśmie, to do jutra nie mogę być niczego pewien. Już ja cię znam, moja Gypsy. Jesteś nieznośnie wprost kapryśna.

- Nie, nie aż tak - odrzekła łagodnie. Zafascynował ją słony, morski smak jego skóry. - Jeśli będziesz tak stał, to zaraz pewnie zmokniemy.

Zaniósł ją prosto do sypialni.

W pokoju paliła się tylko mała nocna lampka. Wielkie, królewskie łoże zaścielała lekka kołdra i prześcieradło, a wszystko skopane i niemiłosiernie wymiętoszone. Był to najlepszy dowód męczącej Chase'a bezsenności. Gypsy zauważyła z przyjemnością, że sypialnia urządzona była wybitnie po męsku: ciężkie, solidne dębowe meble, ogólna przewaga jesiennych, nasyconych „kolorów ziemi”. Na ścianach wisiały mariny; ich sugestywność, bezkres przestrzeni, niezwykłość efektów atmosferycznych intrygowały i przyciągały. Tchnęło z nich samotnością, izolacją, smutkiem.

Wszystko to Gypsy dostrzegła za ledwie kącikiem oka, jako że myśli jej zaprzętał jedynie Chase. W słabym świetle lampki nocnej widziała nareszcie jego twarz. Oczy, usta, policzki rozpałało mu pragnienie tak gwałtowne i

niepohamowane, że aż Gypsy zaniemówiła z wrażenia. Nigdy go takim nie widziała. Takim dzikim i nieobliczalnym.

Postawił ją ostrożnie obok łóżka. Sięgnął do paska długiej koszuli.

- Gypsy... - rzekł głosem niskim i chropawym. Wzruszenie ścisnęło mu gardło. - Gypsy, to dla mnie... Jestem pewny, że...

Zsunęła z ramion koronkowy peniuar. Uśmiechnęła się łagodnie.

- Cii, kochany. Ja też jestem pewna. Bardzo się cieszę, że poszedłeś dziś wieczór na plażę.

Jej uśmiech zatonął w zamglonych ze szczęścia zielonych oczach. Chase pochylił głowę i dotknął leciutko ust dziewczyny. Jakby chciał spróbować jej smaku i nie zrobić jej przy tym krzywdy. Położył ręce na ramionach, rozsunął poły koszuli i zsunął ją, lekką jak powiew letniego wiatru. Gypsy otrząsnęła się, biały jedwab musnął jej piersi i biodra i opadł na podłogę. Zarzuciła Chase'owi ręce na szyję i przywarła do niego całym swym nagim ciałem. Och, jakże rozkosznie było czuć go przy sobie!

Chase wodził dłońmi po plecach dziewczyny, przytulał ją, ścisnął ramionami. Cieszył się jej bliskością jak dziecko. Była ciepła i zachwycająco delikatna. Nie mógł się oderwać od jej cudownych ust. Całowała go gorąco, niecierpliwie. W radosnym porywie szczęścia trąciła jego wargi zębami: obudziła się w niej drapieżna, namiętna, dzika lwica.

Stali oboje, nadzy, objęci ciasno, lecz Gypsy czuła, że tego jej za mało. Pragnęła go rozpaczliwie, pożądała go, szalała za jędrnością jego słonej skóry. Jednym szybkim ruchem zerwała mu ręcznik z bioder. Chase podniósł ją, ułożył na łóżku i już po chwili był przy niej. Raz po raz obiegał cudne ciało dziewczyny nieprzytomnym wzrokiem człowieka,

który nie wierzy swemu szczęściu. Koniuszkami palców sprawdzał nieustannie, czy aby nie jest to senne widziadło.

- Och, jesteś taka piękna, taka piękna! Moja mała dziewczynka! Chodź, chodź do mnie! - nachylił się nad jej wonnymi piersiami, tulił się do nich, tarł delikatnie policzkiem, aż wreszcie wziął do ust jedną z gorących, słodkich brodawek.

Jakżeż wspaniale pieścił ją i dotykał! Gypsy kręciła głową na poduszce, jęczała głośno, przygryzała palce. Czuła na sobie jego niezrównane ręce, jego oddech palił jej skórę, jego włosy muskały nadwrażliwe, pobudzone sutki.

- Gypsy, Gypsy... - szeptał Chase, obsypując tysiącem pocałunków silnie zarumienione policzki i pulsującą pożarem krwi szyję. Uniósł dłoń dziewczyny, ucałował ją, a potem przytulił do piersi.

- Chodź, nie bój się mnie. Dotykaj mnie, dotykaj mnie słodko. Nie bój się.

Uśluchała go, a on prowadził ją cudownie. Uważała, by niczego nie przeoczyć, jego ciało było dla niej nieznaną, dopiero co odkrytą krainą. Uczyła się go na pamięć, zamknęła oczy i błędziła szczupłymi palcami, starając się dotrzeć wszędzie, zapamiętać wszystko... Oto wypukła, pięknie rzeźbiona pierś, oto mocne bryły mięśni na ramionach, napinające się pod gładką, elastyczną skórą. Oto muskularny kark, zakłęśnięty lekko kręgosłup, sklezione żebra, płaski, twardy brzuch.

- Nie wiedziałam. Nie wiedziałam o tym - szepnęła cicho, najciszej jak potrafiła.

- O czym, kochana? - Usta Chase'a musnęły jej miękki brzuch. Przeszył ją rozkoszny dreszcz. Mocno ścisnęła go za ramię. Jęknęła:

- Że mężczyzna... może być... taki piękny!

- Ty, ty jesteś piękna, najpiękniejsza - delikatne palce, a potem same już usta dotykały i całowały ją czule. Była zachwycona, odurzona jego pieścizotami, nie broniła mu niczego, niczego...

Pod wpływem potężnej fali rozkoszy Gypsy omdlewała, przeżyła się, wyginała, opadała na poduszki, niezdolna nawet podnieść rękę, by musnąć mokre, zlepione na czole włosy Chase'a. Kurczowo wbiła paznokcie w jego ramiona. Czuła szorstką nieco skórę policzków na swych wilgotnych udach. W ciele jej zapłonął bezlitosny, potężny płomień ekstazy, a Chase podsyczał go coraz to śmieiej i śmieiej - aż nie mogła już dłużej wytrzymać!

- Chase... - jęknęła, gotowa w tej chwili na wszystko, oślepiła z pożądania, wijąca się w konwulsjach i szaleństwie nieposkromionej żądz. - Chase...

- Tak, kochana...? - wtulił twarz w jej szyję, dyszał łapczywie, chwytając powietrze szeroko otwartymi ustami. Powiedz mi, jeśli...

Poruszał się w niej powoli, zmysłowo. Gypsy wiedziała, że nie chce jej przypadkiem zranić. Lecz sama o niczym już nie pamiętała, na nic nie zważała, gnana potężnym instynktem, furją zmysłów, jaka się w niej rozszalała, wirem wsysającym nie tylko ją, ale i świat cały na zatracenie. Oddawała się mu z całej duszy, całą swą istotą, całą pełnią bezgrzesznej, naturalnej, niczym nie skrepowanej wolności kobiety. Głęboko, ze wszystkich sił wgarnęła w siebie jego biodra. Oplotła go nogami, objęła jego głowę. On był jej. Jej!

Na krótką chwilę, na wieczność całą, w rozbłysku słońc - tylko jej!

Chase szukał po omacku zagubionej gdzieś na brzegu łóżka kołdry. Znalazł ją w końcu i podciągnął do góry, żeby przykryć ich wciąż mokre od potu ciała. Leżeli przy sobie, obejmując się ramionami, rozkoszując się swą bliskością. Nic

nie mogło ich rozdzielić. Gypsy czuła się wyczerpana do cna, kompletnie wyczerpana z sił - lecz przy tym niewiarygodnie wprost szczęśliwa i spokojna.

- Gypsy?

Chase uniósł się na łokciu. Oczy błyszczały mu radośnie.

Uśmiechnęła się do niego z całego serca. To był jej Chase. Podniosła rękę i pogładziła go po policzku. Chwycił jej wilgotną dłoń i gorąco ucałował.

- Oj, co to było, co to było... - mruzczał, patrząc na nią z uśmiechem.

Położył się, objął ją ramieniem i przytulił do piersi. Gypsy pomyślała, że dobry Bóg dał Chase'owi ramiona specjalnie po to, by ten mógł ją w nich kołysać. Och, jak jej było dobrze!

- I co powiesz? Nie jestem taką zupełną nogą w uwodzeniu, prawda? - spytała.

- Ależ kochana moja! Jesteś bezkonkurencyjna. Nie potrafiłem ci się oprzeć już tamtego pierwszego dnia!

- Taak? To czemu wmawiałeś we mnie, że to ty będziesz próbował mnie uwieść?

- Tak tylko drażniłem się z tobą. Ale cały czas czekałem, kiedy... hmm, zdecydujesz się w końcu rozwinąć skrzydła.

- To miło z twojej strony.

- Dziękuję ci. Trochę znam się na ludziach. Mam nosa. I spore doświadczenie.

- Wystawisz mi dyplom?

- Nie ma mowy. Nikt się o twoich talentach nie dowie. Takie rzeczy zostają w rodzinie?

- W rodzinie?

- Nie udawaj, Gypsy. Mówiłem ci, że chcę, byś została ze mną na zawsze.

Dziewczyna zamilkła. Chase'owi najwyraźniej bardzo zależało, by powiedziała „tak”. Musiała przyznać, że pochlebiało jej to. Lecz jednocześnie i niepokoiło.

- Gypsy? - ścisnął jej dłoń.

- Chase, przecież ty mnie nie znasz. Zrozum... Boję się, że wszystko popsuję.

- Masz na myśli twoje pisanie, prawda?

Kiwnęła głową. W słabo oświetlonym pokoju jej wzrok padł na jeden ze smutnych pejzaży morskich. I nagle uświadomiła sobie, że choć na pozór tak wesoły i pogodny, Chase czuje się w głębi duszy bardzo samotny.

- Kochana moja, to nie jest żadna przeszkoda. Poradzimy sobie. Razem. Musisz tylko dać nam obojgu szansę.

Wiedziała, że to nie takie proste.

- Powiedz, jak będziesz się czuł, jeśli nagle przestanę się do ciebie odzywać? Jeśli z błahych powodów będę robiła ci w domu piekło, jeśli będę zrzedziła, marudziła, fukała na ciebie przy każdej okazji? Jeśli tygodniami nie będę pozwalalała się dotknąć, tylko zamknę się w swoim pokoju i będę pisać, pisać bez końca?

- Poradzimy sobie - powtórzył zdecydowanie.

- A jeśli nie? Co wtedy? - jej głos zabrzmiał tak dramatycznie, aż sama się go przestraszyła. - Jeśli oboje się postaramy, to z pewnością sobie poradzimy. Wiem, że tak będzie, kochana.

- Muszę mieć trochę czasu... żeby się przekonać - szepnęła. Łzy napłynęły jej do oczu. Chase przytulił dziewczynę i pocałował w czoło.

- Dobrze, moja kochana Gypsy, dobrze. Wykorzystamy go razem.

Poczuła na sobie jego ręce, które już od jakiegoś czasu skradały się pod kołdrą. Chase połaskotał ją. Gypsy nie mogła powstrzymać się od śmiechu. Zachichotała wesoło. Jej ponury nastrój minął jak ręką odjął. Och, Chase był czarodziejem!

- A tymczasem...

- Chase!...

- Przepadam za tobą, Gypsy. Chcesz czy nie chcesz, musisz się z tym pogodzić.

- Sir, proszę łaskawie trzymać łapy z dala od moich pośladek. W przeciwnym bowiem razie będę zmuszona odpłacić panu pięknym za nadobne.

- Ależ proszę, oddaję się do pani dyspozycji.

Przypadkiem odkryła jego słaby punkt. Połaskotała go pod pachą - i Chase rzucił się jak oparzony. Chichotał i wił się w pościeli, machając rozpaczliwie rękami.

- Gypsy!...

- Ha, a więc masz łaskotki! - zawołała tryumfalnie, nie przestając się nad nim pastwić. - Wiedziałam, że w tym pancerzu musi być jakaś szparka!

- Uważaj, dziewczyno! - zanosił się śmiechem. - Uważaj! Nie drażnij lwa! Jestem od ciebie o wiele silniejszy, pamiętaj! - groził, bezskutecznie odpychając od siebie jej ręce.

- Ale masz łaskotki - przerwała tortury, by za chwilę znów znienacka go napaść. - A skoro tak, to jesteś zdany na moją łaskę.

- Przestań! Natychmiast przestań, ty mała wiedźmo! Bo jak cię złapię... jak cię kiedy złapię... aj!... to cię na śmierć załaskoczę, przysięgam!

- Proszę, spróbuj tylko - uśmiechnęła się złośliwie. - Ja na szczęście nie mam łaskotek.

- Co? - zdumiał się Chase. - W ogóle?

- No, jest może... jeden wyjątek.

- A, już ja go znajdę - odgrażał się, dwojąc się i trojąc, żeby nie dopuścić do siebie dziewczyny. - Poczekaj, już ja go znajdę. Choćbym miał stracić na to pół życia!

- Tymczasem mam cię!

- Oj, Gypsy, przestań! Prze...

Rozdział 8

Następnego dnia po obiedzie Chase pojechał do Portland, by zwrócić kostiumy. Gypsy zabrała się ostro do pracy. Zdziwiło ją, że umysł ma świeży i że tak dobrze się jej pisze. Myślała, że po pierwszej nocy spędzonej wspólnie z Chase'em zatonie cała w marzeniach i ckliwych wspominkach. Tymczasem wręcz przeciwnie. Pracowała w niezwykłym skupieniu; Herman raz po raz oddawał jej gotową, świetnie skomponowaną stronę.

W sercu Gypsy zaświtał promyk nadziei. Bo skoro Chase potrafił natchnąć ją tak gorączkową aktywnością... Być może wszystkie jej obawy wysane były z palca. Być może niepotrzebnie zaprzętała sobie tym głowę.

O czwartej przywieziono z warsztatu Daisy. Gypsy oglądała ją właśnie, gdy przed dom zajechał swym mercedesem Chase.

- Zrobiłem zakupy! - zawołał i zabrał się do wyładowywania toreb z bagażnika. - O, widzę, że przywieźli już Daisy?

- Chase, kazałeś zmienić lakier. Wymieniono też oba zderzaki, nie tylko tylny.

- Tak, kilka drobnych zmian. Nieźle teraz wygląda, co?

- Kilka drobnych zmian? Ależ całe wnętrze jest nowe! Wykładzina podłogowa, nowa tapicerka siedzeń... Nie powiesz mi chyba, że wszystkie koszty pokryło ubezpieczenie?

- Daisy zasługuje na dobre traktowanie - czule pocałował Gypsy w czoło i, uginając się pod ciężarem toreb, poszedł do domu.

Ruszyła za nim.

- Po co to wszystko zrobiłeś? I czemu nie wymieniałeś zderzaka mercedesa? Taki wóz! Toż to grzech jeździć mercedesem, który ma wgnieciony zderzak.

Weszli do kuchni.

- Wiem co robię, wierz mi. Mam swoje powody. - Chase przerwał wyładowywanie toreb z zakupami, podniósł do góry palec i rzekł z namaszczaniem: - Niechaj ten zderzak stanowi memento na przyszłość. A Daisy zasługuje na dobre traktowanie, bo to dzięki niej się poznaliśmy. Nic by z tego nie było, nawet gdybyśmy się spotkali tu, koło naszych domów. Nigdy nie zwracałem uwagi na sąsiadów.

- A tak, wiem coś o tym. Robbinsowie.

- Mam nadzieję, że lubisz homary?

- Uwielbiam. I co, nigdy nie zmienisz tego zderzaka?

- Nigdy. Mój wóz pójdzie na złom z wgniecionym zderzakiem.

- Wiesz co? Zygmunt Freud bardzo by się ucieszył z takiego pacjenta jak ty - powiedziała Gypsy, pomagając rozpakowywać homara.

- Ja myślę - spojrzał na nią bystro. - Jak tam robota? Fajrant na dziś? Pomyślała o swej nad podziw udanej współpracy z Hermanem.

- Z pisaniem tak. Mam jeszcze kilka korekt do zrobienia. Muszę je wysłać pocztą zwrotną najpóźniej jutro rano.

- Ile czasu ci to zajmie?

- Ze dwie godziny. To pójdzie błyskawicznie.

- Świetnie. W takim razie mamy mnóstwo czasu.

- Czasu na co? - spytała niewinnie. Chase zmieszał się, aż się zaczerwienił.

- Na... ugotowanie homara, oczywiście.

- Zapomniałeś, że ja nie gotuję.

- Ależ skąd, nie zapomniałem. Ja go ugotuję, a ty dotrzymasz mi towarzystwa. Jak zwykle. Otworzył lodówkę. Wpadła mu w oko plastikowa miseczka z pokrywką. Wyjął ją.

- Co to?

Gypsy wsadziła ręce do kieszeni i oparła się o stół.

- Nie pamiętam już, co to było. W każdym razie na pewno jest to już coś innego. Chase powstrzymał się od zajrzenia do środka. Zaiste, godna podziwu powściągliwość.

- Czy to... żyje?

- Prawdopodobnie tak.

Zrobił taką minę, że aż dziewczyna parsknęła śmiechem. Wzruszyła ramionami.

- Mówiłam ci, że jestem złą gospodynią.

- Ta, rzeczywiście, mówiłaś - odsunął miseczkę jak najdalej od siebie i przyglądał się jej z ciekawością, ale i z lekkim obrzydzeniem. W końcu odstawił ją z powrotem do lodówki.

Gypsy śmiała się w głos.

- A, brak ci odwagi? - szydziła.

- Cóż, nie ma się czego wstydzić, ta wada jest dość powszechna. Nie pytam nawet, jak długo to tam jest. Do tej pory wyrosły mu już pewnie zęby i straszliwie gryzie.

- Nie zajrzysz? No dalej, śmiało, nie jesteś ciekawy? - zachęcała, a widząc, że się nie kwapił, westchnęła z udanym żalem: - Ach, gdzież są ci dawni bohaterowie...

- Szkoda ich, prawda? - pokiwał smutno głową.

Gypsy jednym skokiem znalazła się przy nim, objęła go i potężnie uściskała.

- Hola, co ty wyprawiasz, dziewczyno! - zawołał zaskoczony, ale widać było, że podobne niespodzianki sprawiają mu przyjemność. - Co się stało?

- Za to, że odnowiłaś moją Daisy - wtuliła mu twarz w ramię i uściskała go raz jeszcze. - Dziękuję.

- E tam. Bohater w dawnym stylu kupiłby ci nową Daisy - powiedział niedbale. Także ją objął i mocno uściskał.

- I źle by zrobił. Bo ja chcę tylko moją Daisy. Moją własną. I ty o tym wiedziałeś.

- Czy to przypadkiem nie oznacza - dopytywał się z nadzieją Chase - że jestem lepszy niż „bohater w dawnym stylu”?

- No pewnie!

Chase ujął dziewczynę pod brodę i spojrzał jej głęboko w oczy.

- Oj, coś mi się zdaje, że homar będzie musiał poczekać - mruknął z uśmiechem.

Gypsy zabrała się za swoją korektę dopiero o północy. Chase proponował wspólną kąpiel, ale odmówiła.

- Zobaczysz, będziesz żałowała.

W odpowiedzi prychnęła lekceważąco. Zdjęła sweter i w samej tylko koszulce usiadła na łóżku. Chase stanął w progu i patrzył na nią wyczekująco; postanowiła nie zwracać na niego uwagi. Wyjęła przysłane z drukarni arkusze i zabrała się do pracy.

- Nie rozumiesz? Koniecznie muszę na to rzucić okiem. Idź, wykąp się sam. Przez długą chwilę nie odzywał się, lecz w końcu nie wytrzymał i rzekł ze śmiechem:

- Nie. Wolę popatrzeć na ciebie.

Wzruszyła ramionami. Rozejrzała się dookoła, najwyraźniej czegoś szukając. Nagle przypomniała sobie, położyła się na brzuchu i zajrzała pod łóżko.

- Wiedziałam, że gdzieś tu są! - zawołała tryumfalnie, wyciągając spod łóżka okulary.

- Trzymasz okulary pod łóżkiem? - spytał Chase, jak gdyby nigdy nic.

- A gdzie...

- ... ty trzymasz okulary, to chciałaś powiedzieć? Gypsy uśmiechnęła się rozbijając.

- Mówisz, że zaczynam się powtarzać?

- Nie, kochana - Chase pochylił się nad nią i dał jej całusa. - Jesteś ostatnią osobą na świecie, która mogłaby się powtarzać.

Poszedł do łazienki. Gypsy wytarła szkła prześcieradłem i zabrała się do czytania. Chase pogwizdywał wesoło pod prysznicem. Robota szła dziewczynie szybko i sprawnie. Do czasu, gdy zadzwonił telefon. Czym prędzej podniosła słuchawkę.

- Halo?

- Znowu nie było cię wieczorem.

Gypsy, spłoszona rzuciła ku drzwiom łazienki pełne obawy spojrzenie. Cholera! Któż to może być, jeśli nie Chase?

- Mówiłam ci, żebyś przestał do mnie dzwonić - powiedziała cicho, ale ostro.

- „Dwaj głupcy we mnie: ja kocham, ja śpiewam o tym” - odparł nieznajomy ze smutkiem. Przesunęła okulary na czoło. Rozpaczliwie próbowała pozbierać rozbiegane myśli.

- Posłuchaj. Nie dzwoń do mnie więcej, słyszysz? Tym razem nie żartuję!

- Marzę o tobie - szepnął, niczym nie zrażony - marzę o głosie słodkim jak miód i łagodnym jak wiosenny poranek. Wierzę w istnienie jednorożca i w to, że na świecie są bohaterowie. Po nocach rozmawiam z gwiazdami...

- Przestań - szepnęła słabo.

- ...Wymarzyłem sobie dziewczynę. Jest taka jak ty. Jest cudem pierwszaka, lśnieniem gwiazdki na niebie, pierwszym promieniem słońca o świecie. Jest dla mnie światłem w ciemności, melodią, do której stale powraca moje serce. Kocham ją.

- Proszę, przestań - Gypsy jęknęła bezsilnie.

- Śnij o mnie, kochana - powiedział i odłożył słuchawkę.

Pirat wskoczył na łóżko i próbował ułożyć się do snu na swym ulubionym miejscu, ale zrzuciła go z kołdry. Kręciła

głową. Nie wiedziała, co ma o tym wszystkim myśleć. Raz jeszcze spojrzała w kierunku zamkniętych drzwi do łazienki.

Kot nie dawał za wygraną. Znow siedział na kołdrze.

- Nie - mruknęła do niego zamyślona. - To bez sensu. Zajrzę tam - i cóż zobaczę? Ano, zobaczę Chase'a. To bez sensu - powtórzyła, patrząc w niebieskie oczy Pirata. - Trudno, w takim razie będę się kochać w dwóch facetach naraz. Ten drugi, bez twarzy, bez imienia, za to ma niezłego fioła.

Chase wrócił z łazienki. Był mokry, wokół bioder miał okrecony ręcznik. Gypsy nieobecna, zapatrzona, siedziała na łóżku i przygryzała w zamyśleniu okulary.

Chase wypędził najpierw kota, a potem leżącego przy łóżku Bucefała. Zamknął za nimi drzwi. Spojrzał na dziewczynę. W ogóle nie zwracała na niego uwagi.

- Wolisz, żeby spały tutaj?

- C - co?

- Zwierzaki. - Postał chwilę w miejscu, przestępując z nogi na nogę. Nie doczekawszy się jednak odpowiedzi, wpakował się do łóżka?

- Skończyłaś już, prawda? Zwrot korekty opóźnił się.

Noce spędzali różnie, to u Gypsy, to u Chase'a. Za dnia przesiadywali przeważnie u Gypsy, który jak twierdziła, chciała w ten sposób „uchronić rezerwat architekta od cygańskiej okupacji”.

Dziewczyna pracowała intensywnie, lecz bez pośpiechu. Chase kilka razy odwiedził swe biuro w Portland; miał teraz co prawda wakacje, ale ponieważ było to biuro jednoosobowe, wyjazdy te były konieczne.

Stale był gdzieś w pobliżu. Zaglądała do salonu - leżał na kanapie i czytał. Wchodziła do kuchni - stał przy stole i, krojąc coś, pogwizdywał. Dbał o nią, sprzątał, gotował.

- Jak tak dalej pójdzie, to zrobię się gruba jak beka - ostrzegęła go.

- Będiesz wtedy w sam raz.

- Zabawny jesteś. A co na to moje dzinsy?

Mieszkając z nim pod jednym dachem, nie można było uskarżać się na monotonię. Nigdy nie było wiadomo, co mu strzeli do głowy.

- Co to?

- Tak nawołują się wieloryby.

- O, nie mówiłeś mi, że masz w domu akwarium.

- Niestety. Mam za to płytę dla podtrzymania miłego nastroju.

- Dla podtrzymania, powiadasz. Czyżbyś był niezadowolony?

- Skądże znowu. Pamiętam tylko o starej zasadzie: zmiany ubarwiają życie.

- Aha. To jak, przygotowałeś dla nas wannę?

- O cholera. Wiedziałem, że o czymś zapomnę. Tak. Przyjemnie było mieć go pod ręką...

- Chase? Gdzie jesteś?

- W kuchni. Karmię te twoje bezwstydne żarłoki. Gypsy weszła do kuchni z zatroskaną miną.

- Herman obraził się i nie chce pisać „e”. Możesz przemówić mu do rozsądku?

Chase podawał właśnie Bucefałowi kość. Omal nie stracił przy tym palców. Herman? Co za Herman? W końcu domyślił się jednak o co chodzi. Był inteligentnym mężczyzną.

- No cóż, spróbuję.

Dosłownie w dziesięć minut pokumał się z Hermanem. Gypsy nie miała pojęcia, czym zdołał go przekupić. Od tej pory Herman zachowywał się bez zarzutu.

- Mój ty bohaterze - uśmiechnęła się, kiedy Chase, zadowolony, podniósł się znad maszyny. Musnął palcem dołek na jej policzku.

- Zawsze chciałem nim być, kochana moja.

Pewnego popołudnia zastał ją bębniącą w klawisze z taką zaciekleścią, jakiej nigdy dotąd u niej nie widział. Skrzywiła się na jego widok. Najwyraźniej przeszkadzał jej.

- Gypsy...

- Cii, cicho! - rzuciła, prawie na niego nie patrząc. Palce jej śmigły po klawiaturze, wzrok wbity był w kartkę papieru.

- Sza! zaraz kogoś zamordują!

Minęło dobre pół godziny, zanim pozwoliła Hermanowi odetchnąć. Wyciągnęła ostatnią kartkę i raz jeszcze przeczytała to, co z taką pasją przelała na papier. Kiwnęła głową z zadowoleniem. Przeciągnęła się na krześle. I nagle przypomniała sobie, że przecież przyszedł Chase. Podniosła głowę - stał cicho tuż przy biurku i uśmiechał się.

- Cześć - zdziwiła się. - Długo tu stoisz?

- Kilka minut. Chciałem ci przerwać, ale kazałaś mi być cicho.

- O, przepraszam - zawstydzila się. Chase rozłożył ręce w bezradnym geście.

- To ja przepraszam. Wiedziałem, że to zły moment, ale... Jeśli chcesz wiedzieć, to postanowiłem się przekonać, jak zareagujesz. Nie przejmuj się mną, kochana. Jesteś przecież u siebie.

Przyjrzała się mu badawczo.

- Poradzimy sobie, prawda?

- Nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości. Co jemy na obiad?

Gypsy zauważyła, że jej tajemniczy wielbiciel dzwoni na ogół wtedy, gdy ona spędza wieczór z Chase'em. On sam był co prawda zawsze w pobliżu, lecz nigdy w tym samym

pokoju. Hmm. Gypsy, mimo wahań, podejrzewała go o jakieś sztuczki.

W kilka dni później dała o sobie znać pisarska gorączka dziewczyny. Z początku jeszcze nie było tak źle; od czasu do czasu udawało się Chase'owi oderwać ją choć na parę minut od maszyny i zmusić do zjedzenia przyzwoitego obiadu, do odpoczynku lub po prostu do przespania się. Cel uświęcał przy tym środki:

- Gypsy!
 - Nie teraz!
 - Chodź, musisz mi pomóc. To bardzo, bardzo ważne.
 - O co chodzi?
 - Zaciał mi się suwak! - Chase!
 - No dobrze. Wyszłaś wreszcie z za biurka...
 - Owszem, ale...
 - ... i skoro już tu jesteś...
 - Jesteś niezdolny! Innym znów razem:
 - Gypsy?
 - Co znowu?!
 - Pomóż mi.
 - To bardzo, bardzo ważne, tak?
 - Ja po prostu muszę odzyskać kluczyki od samochodu.
 - Chase! Każdego ranka od wielu już tygodni wspinasz się na to drzewo. Poradzisz sobie i teraz.
 - Ale Pirat wlaź na inne drzewo. Złośliwe bydlę.
 - Bo go namówiłeś. Zrobiłeś to specjalnie.
 - Ależ skąd, nawet gdybym chciał... On mnie nie słucha.
- Chodź, Gypsy, to tylko minutka. Czy, prosząc o jedną minutę, żądam zbyt wiele?

W następną sobotę odciągnął ją od pisania na cały dzień: ni z tego, ni z owego oświadczył, że zaprosił na obiad jej rodziców. Chociaż w pierwszej chwili postanowiła przejść nad tym do porządku, to jednak wściekła się i po raz pierwszy

huknęła na niego tak naprawdę. Zgnębiło ją to zresztą bardziej jeszcze niż Chase'a.

- Powiedz mi, dlaczego u licha to zrobiłeś?! Nie mogę przerwać pracy na cały dzień! Cholera, nigdy chyba nie skończę tej książki, idzie mi jak po grudzie! I to przez ciebie, wyłącznie przez ciebie!

- Gypsy...

- Zawracasz mi tylko głowę! Nie mogę już żyć, jak mi się podoba! Czego ty ode mnie chcesz?! Chase zmrużył oczy.

- A więc zawracam ci głowę?

Spojrzała na niego - i natychmiast cała złość jej minęła. Wstała od biurka, szybko podeszła do Chase'a, objęła go w pasie i przytuliła się.

- Chase, czemu się ze mną drażnisz? Potrzebuję teraz spokoju... - tłumaczyła drżącym głosem.

- Wiesz, to się nawet dobrze składa: ty od czasu do czasu potrafisz być jędrą, a ja zawsze wołałem odrobinę goryczy niż przesadną słodycz.

- Chase...

- No dobrze, zostawmy to. Ja też nie jestem chodzącym ideałem.

- Taak? A już myślałam, że zostaniesz kanonizowany. I to jeszcze za życia.

- Święty Chase... - powiedział powoli, próbując, jak to brzmi. - Nie, jakoś to nie pasuje... Zresztą nieważne. Chodź, moja Gypsy. Na cześć twoich rodziców wydamy prawdziwą ucztę.

- Jak to: my?

- Tym razem będę potrzebował twojej pomocy.

- Mojej pomocy? Chyba żeby wszystkich potruć? Zrozum, ja nie mam żadnych, ale to absolutnie żadnych zdolności do gotowania!

- Ale kroić umiesz, prawda?

- Naiwny człowieku! Chcesz mi dać do ręki nóż?
 - A... tak. Po namyśle przyznaję, że to głupi pomysł. W takim razie nakryjesz stół i... dotrzymasz mi towarzystwa.
 - Pytałam cię już, czy twoja zastawa stołowa jest ubezpieczona?
 - Ubezpieczyłem ją natychmiast, jak cię poznałem.
- Przez cały dzień żartowali i przekomarzali się; Gypsy lubiła ten rodzaj humoru. Любиła też wizyty rodziców, a skoro na dodatek miał być również Chase... Zdziwiająco dobrze czuł się w ich towarzystwie, co nie każdemu i nie często się zdarzało.
- Widać spodobał się im.
- Mamo? Co tam tak szepczecie z Chase'em?
 - Nic, nic, kochanie. Podobno pracujesz nad nową książką? Hmm, tym razem nie wyglądasz na aż tak zmęczoną.
- Ulubiony chwyt mamy: nagła zmiana tematu.
- Bo Chase zmusza mnie do przerw.
 - Ha, to tak samo jak z twoim ojcem i ze mną. Kiedy ślub?
 - A co, macie zamiar pobrać się po raz drugi?
 - Gypsy...
 - Mamusiu. On mnie o nic nie prosił.
 - Ależ to nonsens, kochanie. Wcale nie musi tego robić.
 - Lecz etykieta...
 - Dobrze, w takim razie zachowamy etykietę. Tyle, że postawioną na głowie: ty go poproś!
 - Coo? Nie, chyba bym nie potrafiła. Jestem zbyt staroświecka.
 - Raczej zbyt uparta. Och, teraz dopiero widzę, że za bardzo wdałaś się w ojca.
 - Papo? Gdzie się wybierasz z tą drabiną?
 - Pirat ukradł kluczyki. Tym razem moje: Siedzi na dachu. Chase tam po niego wejdzie.

- A, to Chase ma drabinę. Już ja mu pokażę! Całymi tygodniami zawraca mi głowę! Stale tylko ściągać go z drzewa na dół!

- Zaraz, zaraz, poczekaj. Pirata?

- Papo! Chase'a, oczywiście!

- Ha, fajny jest, nie ma co.

- Kto, Pirat?

- Gypsy, jesteś jeszcze gorsza niż twoja matka. Chase, oczywiście.

- Papo, nie uśmiechaj się tak do mnie.

- Nie ma w tym nic dziwnego, córeczko. Ojcowie często uśmiechają się do swoich dzieci.

- Wiem, wiem. Ale nie tak.

- Kochanie, widzę, że do niczego nie dojdziemy. Zaniosę Chase'owi tę drabinę, dobrze?

Dni mijały. Gypsy były coraz bardziej pochłonięta pracą nad książką. Bałagan na jej biurku przerodził się w istną barykadę notatek, szkiców, fachowych książek, słowników, a także najrozmaitszych dziwacznych przedmiotów w rodzaju zegara - Buddy, które Gypsy nie wiadomo właściwie po co gromadziła. Chase siłą wyciągał ją na obiad, a i to nie zawsze mu się udawało. W takich wypadkach kiwał tylko smutno głową, machał ręką i zrezygnowany zostawiał ją w spokoju.

Każdego dnia około północy Gypsy musiała staczać ze sobą prawdziwą walkę i, doprawdy, wiele ją kosztowało, by się oderwać od pracy. Ścisłe przestrzeganie tej pory było dla niej nowością. Nigdy dotąd bowiem nie istniał żaden rozkład dnia. Ale dziewczyna wytłumaczyła sobie, że przecież minimum rozsądku nie może wpłynąć na osłabienie jej twórczej potencji, pozwoli za to racjonalniej rozłożyć siły. Postanowiła więc zarzucić niezbyt mądrą metodą gorączkowej pracy aż do całkowitego wyczerpania.

A poza tym - noc była przecież ich: Gypsy i Chase'a. Dziewczyna z każdym dniem czuła, że coraz bardziej kocha tego mężczyznę. Była nim po prostu oczarowana. Do tej pory żadne z kochanków nie próbowało mówić o swoich uczuciach. Gypsy miała powody, by przypuszczać, że Chase nie zrobi tego pierwszy. Że raczej poczeka, aż uczyni to ona. A może 'uważał, że już zrobił pierwszy krok? Mówił jej przecież, że chce, by została z nim na zawsze...

Ona sama natomiast ciągle jeszcze nie mogła się na to zdecydować. Dręczył ją niepokój. Z napięciem i obawą czekała, kiedy wreszcie wyczerpie się cierpliwość Chase'a.

I doczekała się.

Książka była już właściwie na ukończeniu, lecz gorączka Gypsy rosła wprost proporcjonalnie do wykonanej pracy. Dziewczyna nie była już w stanie zmusić się do przestrzegania stałych godzin snu i posiłków. Przez ostatnie dni na krok nie ruszała się od biurka, całymi godzinami nawet nie wstawiała z krzesła. Przerывała, kiedy klawisze Hermana tańczyły jej przed oczami - i po krótkiej pauzie wracała do pisania. Myślała tylko o jednym: skończyć, nareszcie skończyć. Pragnienie to zawładnęło nią całkowicie. Nic na to nie mogła poradzić. To było jak narkotyk.

Od trzech dni jadła niewiele, sypiała krótko i źle na kanapie w pokoju, często nawet nie zdejmując ubrania. Zrezygnowała z dostosowywania swych porywów twórczych do pór dnia i nocy. Po kilkugodzinnej drzemce brała zimny prysznic i natychmiast wracała do pracy. O Chasie raczej nie myślała. On ze swej strony starał się jej nie przeszkadzać. Choć - jak zawsze - stale był gdzieś w pobliżu.

Trzy wściekłe dni. Czwartego, o godzinie drugiej nad ranem, coś gwałtownie przerwało jej zajadłą walkę.

Nagle zdała sobie sprawę, że jakaś siła ciągnie ją do góry; uderzyła przy tym kolanami o szufladę biurka. Brutalny pocałunek zmiażdżył jej wargi.

- Czy teraz już wiesz, co się dzieje dookoła? - usłyszała ochryply z emocji głos Chase'a. Zamrugła nieprzytomnie oczami. Serce waliło jej w piersi; trochę ją tym szarpnięciem przestraszył.

Otworzyła usta, lecz nie mogła wydobyć z siebie głosu. Zdołała w końcu wyszeptać słabe:

- T - tak.

- Nareszcie!

Zdjął z nosa dziewczyny okulary, a potem, nie patyczkując się, podniósł ją i zarzucił sobie na plecy.

- Chase!

Rozpaczliwie machała rękami, próbując się czegoś uchwycić. Zaniósł ją prosto do sypialni.

- Nie będę jednak kanonizowany za życia. Zdecydowanie nie - mrucał.

- Chase, co ro...

Rzucił ją na łóżko i, zanim spróbowała się podnieść, przygniótł ją swym potężnym ciałem.

- Chase?...

Jak jastrząb, gwałtownie i krwiożerczo spadł na usta dziewczyny. Dusił ją, wpijał się w jej wargi, żarłoczny, zniecierpliwiony. Ani myślał o łagodnych i czułych pieszczotach. Ten pocałunek miał w sobie raczej coś z walki i zdobywania, zagrabiania siłą należnej mu przeciw miłości Gypsy. Głód Chase'a był jak szaleństwo, jak wywołane przymusowym okresem wygnania opętanie. Był namiętnością prawdziwie dziką.

Oto był inny Chase, jakiego Gypsy jeszcze nie znała. Dziewczyna przeżyła szok, zdumienie - lecz niepohamowana zmysłowość i żądza Chase'a rychło okazały się zaraźliwe. I

ona też pokazała pazur. Stała się równie dzika i bezwzględna jak on. Dotrzymała mu kroku. Pokazała, że godna jest jego tak gwałtownych emocji.

Kochali się z nieprawdopodobną wprost zachłannością i zapamiętaniem. Jakby robili to po raz ostatni. Jakby akt ten był wartością ostateczną, stanowiącą o ich życiu i śmierci. W pokorze przyjęli przybyłego do nich demona niszczącej ekstazy. Każdy ich ruch poczynał się w milczącym, instynktownym porozumieniu, w pierwotnym i nieokiełznanym, rytualnym tańcu. Twardy i bezlitosny rytm ogarnął nawiedzone ciała i napiętnowane żądzą dusze - aż spełnił się w świętej, inicjującej odrodzenie kremacji.

Gypsy ocknęła się, wyrzucona na brzeg przez spokojne fale oddechu Chase'a. Leżała przytulona do jego piersi, wsłuchana w potężne, uspokajające się z wolna bicie serca Chase'a. Obejmował dziewczynę ciężkim, bezwładnym ramieniem. Chciało się jej jednocześnie i śmiać, i płakać ze szczęścia.

Poruszyła się ostrożnie.

- Ach ty - szepnęła - gwałtowniku! Ładnie to tak? Brać kobietę siłą...?

- Gypsy...

Otworzyła oczy. Zaniepokoił ją ton jego głosu. Chase był najwyraźniej smutny. Domyśliła się, dlaczego. Wyciągnęła rękę i objęła go za szyję. Łagodnie uśmiechnęła się do zielonych, zamglonych jeszcze oczu.

- Kochany mój. Nie zrozum mnie źle. W tych sprawach odrobina szorstkości jest wręcz pożądana. Odetchnął z wyraźną ulgą, choć jeszcze nie dowierzał:

- Naprawdę? Kochanie, ja... nie chciałem być brutalny. Uszczypnęła go w ramię.

- Oboje byliśmy troszkę brutalni. I mam nadzieję, że to się jeszcze powtórzy. Chase rozpromienił się: a więc Gypsy nie miała nic przeciwko podobnym wybuchom.

- Nie jesteś wściekła? Oderwałem cię od pracy.

- Przyznaj się: to była zemsta - powiedziała domyślnie. - Ale wybaczam ci. Zostało mi dosłownie kilka stron - i koniec!

- Kilka stron do końca całej książki - upewnił się. Kiwnęła głową.

- Musisz mi powiedzieć, co było kroplą, która przepełniła puchar? Przez te wszystkie dni byłeś naprawdę jak święty.

- Sam nie wiem - zawahał się. Po chwili jednak dodał: - Dobrze, skoro chcesz, powiem ci. Byłem po prostu zazdrosny.

- Zazdrosny? O co?

- Jak to, o co? O twoją książkę! O Hermana, biurko. O wszystko, co się ode mnie oddziela. Leżałem tu w łóżku, samotny, i pomyślałem nagle, że dość już tego dobrego.

Gypsy zmarszczyła brwi, lecz Chase uprzedził jej obawy:

- Nie, nie, kochana, nie przeszkadza mi to, że tak intensywnie pracujesz. To nie może zaszkodzić naszej miłości. Dzisiaj... dzisiejszy wieczór jest wyjątkowy. Ciagle jeszcze jesteś dla mnie... kimś nowym. - Przerwał, zaraz jednak podjął wzruszonym głosem. - Jesteś jak skarb, który odkryłem dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności. Chcę się tobą nacieszyć. Muszę od czasu do czasu wziąć cię na kolana, przytulić, poczuć twoją bliskość. Bo kto wie, czy bogactwo nagle ofiarowane nie będzie mi równie nagle odebrane...

Gypsy chciała coś powiedzieć, lecz gardło ścisnęło jej wielkie wzruszenie. Przytuliła się ufnie do Chase'a. Była naprawdę szczęśliwa.

Rozdział 9

Z tego czy innego powodu - a każdym z tych powodów był Chase - Gypsy nie skończyła jednak książki owego dnia. Zrobiła to dopiero późnym wieczorem dnia następnego. I jak zawsze po zakończeniu pisania, tak i teraz starała się już o niej nie myśleć. Do tak świeżego materiału należy nabrać odpowiedniego dystansu - dopiero za jakiś czas będzie można pokusić się o w miarę obiektywną ocenę.

Następnego ranka obudziła się wyraźnie czymś zaniepokojona. Rychło pojęła, co się stało. Chase'a nie było w łóżku. Nasłuchiwała przez chwilę. W całym domu panowała cisza.

Boso ruszyła do pokoju. A, tu siedzi. Cicho oparła się o drzwi i zapatrzyła się w niego. Huśtał się na odchyłonym do tyłu krześle, trzymając swoje długie nogi na biurku. Potargany, w samych tylko dżinsowych szortach, czytał z uwagą ostatnie kartki maszynopisu. Najwyraźniej siedział tu już od dawna. Odłożył ostatnią kartkę i zamyślił się. Widocznie jednak wyczuł obecność Gypsy, bo podniósł głowę.

- Myślę, że to najlepsza twoja książka. Podeszła bliżej i uklękła przy nim na dywanie.

- Czemu tak myślisz? - spytała równie cicho jak on. Oboje mimowolnie dostosowali się do spokoju tej wczesnej godziny.

Zapatrzony w okno, nieobecny nieco ruchem pogładził ją po głowie.

- Cóż, zostały tu wykorzystane najważniejsze elementy konstrukcji poprzednich książek. Przejrzystość i logika przebiegu akcji. Odpowiednie skomplikowanie intrygi, niespodziewane zmiany tempa narracji. Zmieniły się za to zasadnicze rysy postaci, zwłaszcza głównego bohatera - Chase uśmiechnął się. - Tym razem wyraźnie jest on bliski autorowi,

mający za sobą jego sympatię. W poprzednich książkach tego nie było. Zaludniały je postacie niemal wyłącznie negatywne. Pamiętasz, jak pytałem cię o twoich bohaterów? Tak, oni właściwie byli antybohaterami. W tej książce natomiast - wskazał palcem na maszynopis - bohater ma zupełnie nowe cechy charakteru. I sędzę, że główna postać zyskuje na tym, jest dużo pełniejsza, dojrzalsza. Wyraźniej zarysowana w swych namiętnościach i typie osobowości. To głębsza, barwniejsza i, co ważne, napisana z dużym poczuciem humoru książka. Wróżę jej wielkie powodzenie.

Gypsy uśmiechnęła się, słysząc ocenę tak pochlebną.

- Cieszę się, że ci się podoba.

- Bardzo mi się podoba. Dobra, to mało powiedziane. Jest świetna. Zobaczysz, ta książka stanie się bestsellerem. - Schylił się i pocałował dziewczynę leciutko w usta. Spojrzał jej w oczy. - Pojedziesz ze mną do Wirginii?

- Do Wirginii? A po co? Chase zawahał się na moment.

- Zamówienie. Dostałem zamówienie.

- Od kogo?

- Od rajców miasta Richmond. Pracowałem dla nich przez ostatnie dwa miesiące. A teraz złożyli zamówienie na zaprojektowanie placu targowego.

Gypsy wiedziała, że to bardzo poważna oferta. Projekty na taką skalę opracowują tylko wybitni architekci.

- Kiedy jedziesz?

- Umówiłem się na spotkanie w piątek wieczorem.

- Czyli jutro - powiedziała bardzo wolno. - Jak długo...

Pewnie będziesz musiał siedzieć tam miesiącami?

- Nie, nie. Nie przy tak słabo zaawansowanym stadium prac. Na razie toczyć się będą ogólne rozmowy na temat budżetu, wymogów użytkowych i tak dalej. Tak naprawdę jeszcze nic nie wiadomo, trzeba uzgodnić warunki, zanim się

za to wezmę. To potrwa... jakieś kilka, kilkanaście dni. Może kilka tygodni, jeśli będą się tak grzebać jak ostatnio.

Uśmiechnął się, lecz jakoś dziwnie. Czyżby coś przed nią ukrywał?

- Pojedziesz ze mną?

- Nie. Nie mogę.

- Jake i Sara popilnują przez ten czas naszych domów.

Gypsy pokręciła głową.

- Nie o to chodzi, Wprawdzie skończyłam książkę, ale czekają mnie jeszcze długie dni pracy nad poprawianiem i wygładzaniem maszynopisu. To potrwa.

Tak, w uśmiechu Chase'a było coś niepokojącego.

- Będę zgadywał: oczywiście nie możesz pracować nad tym w Richmond?

- A warto ciągnąć moje graty aż taki kawał drogi? Mówiłeś, że potrwa to tylko kilka dni...

- Tak, masz rację - wyprostował się na krześle. - W takim razie pojedę sam. Jak to? I mówił to tak lekko, jak gdyby nigdy nic?

Po chwili dorzucił jeszcze:

- Ciągłe nie jesteś pewna, czy będziemy ze sobą, prawda, Gypsy? Nim zdążyła odpowiedzieć, wstał z krzesła.

- Samolot mam po południu, przedtem muszę jeszcze zajrzeć do biura w Portland. No więc... będę się zbierał. Pomożesz mi się spakować?

- Co? Jedziesz już teraz? Tak nagle? - spytała słabym głosem.

- Tak. Po śniadaniu. Posłuchaj, ja zrobię coś do jedzenia, a ty mnie spakujesz. Dobrze?

W dwie godziny później już go nie było. Zostawił ją stojącą w drzwiach, samotną, z przelotnym pocałunkiem na policzku i pożegnalnym gestem dłoni w oczach. Ciągłe tak dziwnie się uśmiechał...

Czas płynął. Gypsy ślęczała nad maszynopisem całymi godzinami. Nie dlatego, że trzeba było. Raczej dlatego, że chciała.

Chase dzwonił co wieczór około ósmej i zdawał jej sprawę z przebiegu rozmów, których postępy były, niestety, nikłe. Zachowywał się przy tym normalnie, mówił wesoło, swobodnie, lecz Gypsy od razu wyczuła pewną zmianę. Mianowicie, ani razu nie nazwał jej „kochaną” czy „swoją Gypsy”.

A więc... została jej tylko praca. I nic dziwnego, że do połowy następnego tygodnia dziewczyna ostatecznie zakończyła robotę, z przepisaniem na czysto włącznie. Wysłała maszynopis do wydawcy.

A potem zaczęły się puste, posępne dni. Gypsy zabijała czas, wynajdywała sobie błahe, najzupełniej bezsensowne zajęcia. Nudziła się potwornie. Teraz, po wyjeździe Chase'a i po skończeniu książki zostały jej tylko zwyczajne codzienne czynności. Pielniła w ogródku, myła Daisy (trzy razy w ciągu dwóch dni), - chodziła do domu Chase'a doglądać Aniołka i jej kociaków, oglądała telewizję, czytała poezję.

Właśnie: poezję. Gdyby nie jej tajemniczy wielbiciel, nie wiedziałyby, co ma ze sobą robić. Nie zanedbywał jej, dzwonił co wieczór o północy. Wsłuchiwała się w tembr jego głosu; samą siebie przekonywała, że to Chase... Lecz tak naprawdę nie była pewna. A zapytać wprost - bała się.

Nerwowo chodziła po pokoju. Od ściany do ściany, od ściany do ściany... Gnębił ją straszliwy niepokój. Zaledwie przed godziną rozmawiała z Chase'em. Gładka rozmowa o niczym. Boże, czemu jej to robił? Czemu zachowywał taki dystans, podczas gdy ona...

Nagle stanęła jak wryta. Olśniła ją niespodziewana myśl. .

„Ach ty idiotko - szepnęła do siebie - przecież właśnie o to mu chodzi! Chce ci pokazać, jak to jest! Całymi tygodniami

zajmowałaś się wyłącznie sobą - a on czekał. Cekał cierpliwie, trzymał się na uboczu. I dalej czeka. Aż ty nareszcie wydoroslejesz!"

Czego tak naprawdę się bała? Przecież nie tego, że nie będą mogli żyć ze sobą w zgodzie. Wiedziała, że - jak mówił Chase - poradzą sobie. I przecież nie tego, że poróżni ich jej pisanie. Miała bowiem pewność, że do tego po prostu nie dopuści.

„Dość tego, Gypsy. Spójrzmy prawdzie w oczy. Boisz się, że ta miłość cię zrani. Lata całe żyłaś w przekonaniu, że nie trzeba ci żadnych związków, żadnych zobowiązań. A kiedy wreszcie stało się - jesteś przerażona. Dobrze, a więc po raz pierwszy w życiu jesteś aż tak blisko z mężczyzną. I co z tego? Czy to jest takie straszne?"

Nagle zdała sobie sprawę, że wszystkie jej obawy i uprzedzenia rozwiewają się jak mgła na wietrze. Nie, Chase nigdy jej nie zrani. Powinna dziękować Bogu, że spotkała na swej drodze kogoś tak wyjątkowego. Tak niezwykłego. Ale... czy aby nie jest za późno, by mu o tym powiedzieć?

Poczuła bolesne ukłucie w sercu. Paniczny lęk chwycił ją za gardło.

„Czy nie jest za późno?" - huczało jej w uszach.

A jeśli już go utraciła?

Co będzie, jeśli on nie wróci? Jeśli już nigdy go nie zobaczy? I nie będzie mogła mu powiedzieć?...

Jeden rzut oka na zegarek - i już siedziała na łóżku, przy telefonie. Na wschodzie Stanów jest teraz północ. Dobrze, złapie go w hotelu. Jutro może być już za późno!

- Halo?

- Chase, tęsknię za tobą - powiedziała.

- Naprawdę? - wyczuła, że Chase ma się na baczności.

- Chase...

- Jesteś zmartwiona - to było raczej stwierdzenie niż pytanie.

- Tak. Bo czuję się samotna. - Zaśmiała się nerwowo. - Samotna. Po raz pierwszy w życiu. Czy... Kiedy wracasz do domu?

Westchnął.

- Oj, to potrwa jeszcze kilka dni.

Zamknęła oczy i zacisnęła pięści, aż zbieleły jej kostki.

- Nie wiem, czy wytrzymam.

- Gypsy?

- Posłuchaj, jest mi bardzo źle samej - mówiła z trudem, głos drżał jej ze wzruszenia. - Źle i obco. Dom nie jest już taki jak dawniej... Bucefał nie chce nic jeść. Nie mogę niczego znaleźć. Budda spadł mi z biurka i rozbił się w drobny mak...

A Pirat, Pirat...

- Gypsy...

- Aniołek przeniosła kocięta do twojej sypialni. Na różach pojawił się jakiś liszaj. Wczoraj... padało przez cały dzień. Jest tak smutno... Łóżko jest takie wielkie i takie puste...

- Przylatuję pierwszym samolotem, słyszysz mnie? - głos Chase'a zmienił się, był teraz niski, stłumiony.

- A twoja praca?

- Nie zając. Ty jesteś ważniejsza. Już jutro będę w domu, kochanie moje.

- Będę na ciebie czekała.

- Dobranoc, moja Gypsy.

- Dobranoc.

Powiedział: ty jesteś ważniejsza!

Pomyślała teraz o swoim postanowieniu. Że nie dopuści, by poróżniło ich jej pisanie. Jakie to dziwne: te dwie najważniejsze w życiu sprawy zamieniły się w jej sercu miejscami, a ona tego nawet nie zauważyła. Począwszy od dziś, ważniejszy ponad wszystko inne był dla niej Chase.

Hmm, pisanie... W zamyśleniu pokiwała głową. Tego też nie zauważyła, że bohater w nowej książce jest już zupełnie inny; dopiero Chase to jej uświadomił. „Tym razem wyraźnie jest on bliski autorowi, mający za sobą jego sympatię” - usłyszała głos Chase'a. To ważne, bardzo ważne! Jakżeż mogła tego nie spostrzec?

Teraz dopiero ujrzała w wyobraźni dokładny obraz głównej postaci powieści. Postaci prawdziwej, w pełni ludzkiej, której udziałem jest sromotna klęska. To Chase tak natchnął młodą pisarkę. Chase oraz tajemniczy wielbiciel.

Gypsy zmarszczyła brwi. To musi być Chase i koniec! Dobrze, ona podejmie tę grę i będzie w niej uczestniczyć tak długo, jak on będzie chciał. Nie będzie zadawać żadnych pytań. I tylko pewnego dnia, kiedy starzy i siwi siedzieć będą na porośniętej dzikim winem werandzie, nieoczekiwanie wróci do tej sprawy.

A jeśli Chase powie, że to nie był on?...

Ha, cóż, wtedy zdzieli go laską...

- Kochana moja, mówisz, że wierzysz w jednoroźca.

- Wierzę.

- W istnienie bohaterów?

- Tak, wierzę.

- A wierzysz, że ja istnieję?

- Tak - odpowiedziała czule.

- To dobrze. Zobacysz, razem pójdziemy aż na koniec tęczy - mówił z nieopisaną słodyczą. - I znajdziemy tam garnek złotych monet. A kiedy za oknem będzie szaleć burza, kiedy świat cały stanie na głowie, my będziemy razem. Ty i ja.

- I nigdy nie będziemy samotni, prawda?

- Nigdy, miłości moja. Śpij dobrze.

Ach, jakże się niecierpliwiła! Chciała Chase'owi powiedzieć, jak bardzo za nim tęskni, chciała się do niego

przytulić - a tu go ani śladu. Minął ranek. Dla zabicia czasu znów umyła Daisy i opielila dwie grządki astrów w ogrodzie.

Nie mogła już dłużej wytrzymać. O drugiej po południu wyszła z domu i poszła w kierunku plaży. Usiadła na kamieniu, w miejscu, gdzie skaliste zbocze opadało ku zimnym falom oceanu. Zapatrzyła się w dal.

- Gypsy?

Odwróciła się - i rzuciła Chase'owi w ramiona. Objął ją mocno. Czowała przy sobie jego serce, jego kochane serce.

- Wiesz, poznałam nowego bohatera - szepnęła. - Zupełnie nowego bohatera. Do tej pory nie wiedziałam, że tacy istnieją.

- Opowiesz mi?

- Jest zabawny. Wcale nie zwraca uwagi, że okropnie bałaganię i nie umiem gotować. Potrafi dogadać się z Hermanem, przyrządza dla mnie wspaniałe obiady. Odrywa mnie od pracy, bo nie potrafi zejść z drzewa, mimo że ma drabinę. Podśłuchuje wieloryby. Jest głęboko przekonany, że ja jestem skarbem, który odkrył dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności. Wiecznie użera się z psem wielkim jak koń i z całym stadem złośliwych kotów. Dla mnie jest nieskończenie wprost cierpliwy.

- Gypsy... - Chase ujął ją pod brodę i spojrzał głęboko w oczy.

- Kocham cię - szepnęła żarliwie. - Kocham cię bardziej niż cokolwiek na świecie. I jeśli wzięłbyś na swoje barki użeranie się także i ze mną...

- O Boże, dziewczyno - zawołał. - Czy ty nie rozumiesz, ile dla mnie znaczysz? - Z całych sił tulił ją i kołysał w ramionach. - Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, nie wiedziałem, czy mam cię pocałować, czy raczej posłać do więzienia. I wystarczyło sześć godzin spędzonych z tobą, bym nabrał pewności, że to ja za wszelką cenę muszę cię uwięzić,

zamknąć cię w moich ramionach. Na zawsze. Kocham cię, najdroższa, i będę cię kochał po kres moich dni. - Pocałował ją.

- Chase... - Gypsy przymknęła oczy. Włożyła w ten pocałunek całą swą duszę, a i tak zdawało jej się, że dała z siebie zbyt mało. Kiedy otworzyła oczy, spostrzegła ze zdumieniem, że oboje leżą na miękkiej trawie.

- Dlaczego mnie zostawiłeś? - spytała cicho; знаła wprawdzie odpowiedź, lecz chciała ją usłyszeć z jego ust. - Dlaczego byłeś taki... obojętny?

- Nie, nie, moja Gypsy, nigdy nie byłem obojętny. Tam, w Richmond, udawałem tylko. Widziałem, że nie możesz się zdecydować. A od samego początku byłem przekonany, że jesteśmy dla siebie stworzeni. Chciałem ci tego dowieść. Przychodziły mi do głowy setki pomysłów, jeden głupszy od drugiego... W końcu postanowiłem wyjechać. Wyjechać nagle, prawie bez uprzedzenia. Miałem nadzieję, że za mną zatęsknisz, nawet nie wiesz, kochana moja, jak trudno było mi jechać. Serce mi się krajało. A te ostatnie dni, to było prawdziwe piekło.

Pogłaskała go po policzku; chciała przeprosić za cierpienie, jakie sprawiła mu swym niezdecydowaniem. Chase ujął dłoń dziewczyny i gorąco ucałował.

- Tamtego ranka... to wszystko stało się tak nagle. Nawet nie miałam czasu, żeby się zastanowić. Jedna chwila - i już cię nie było.

Chase uśmiechnął się niewinnie.

- Gdybym tobie pozwolił się zastanawiać, to i sam też miałbym czas na myślenie. I nigdy pewnie bym nie pojechał. To było jak gorzkie lekarstwo: należało je połknąć szybko - i po krzyku.

- A... twój projekt dla Richmond?

- To szczerą prawdą. Dzwonili do mnie kilka tygodni przed wyjazdem. Są już pierwsze wdrożenia, lada chwila podpiszemy kontrakt. Moja Gypsy, co byś powiedziała na zimę w Richmond?

- Nigdy nie byłam w Richmond - uśmiechnęła się. - Ale wiesz, dziwię się tobie. Miałaś okazję przekonać się, że zamieszkiwanie ze mną pod jednym dachem to niełatwa sztuka. A mimo to...

- Kochana moja Gypsy. Odmieniłaś całe moje życie, nadałaś mu nowy kształt. Nawet czas liczy się teraz dla mnie inaczej. Każda godzina czymś zaskakuje, każda minuta przynosi nowe podniety, nowe doświadczenia. Czasem wydaje mi się, że żyje dwa razy intensywniej niż dawniej. Pewnie nie wiesz, ile radości sprawia mi samo patrzenie na ciebie!

Musnął ustami koniuszek jej nosa.

- Kiedy jesteś zdziwiona, mrugasz oczami jak wystraszony kociak. Gdy się zamyślisz, wkładasz okulary, a tymczasem inna para siedzi ci już na nosie. Z głębokim przekonaniem usiłujesz wyjaśnić coś, co jest najprostsze i najbardziej oczywiste pod słońcem. Nie dziwi cię za to największy nawet absurd. To, co banalne, czynisz fascynującym. Masz przenikliwy i błyskotliwy umysł, a z drugiej strony czasami nawet nie wiesz, czego szukasz - że nie wspomnę już o tym, iż nie masz pojęcia, gdzie tego szukać. Masz zabawny nawyk dawania przedmiotom imion oraz rozmawiania z nimi i o nich, jakby były ludźmi. Masz także niewytłumaczalną skłonność do gromadzenia dziwacznych rzeczy w rodzaju posążków Buddy - uśmiechnął się czule. - Kiedy jestem z tobą, czuję się, jakbym jechał na karuzeli: kręci mi się w głowie i brak mi tchu.

Gypsy usiłowała być praktyczna:

- Nie umiem za to gotować. Jestem fatalną gospodynią. Zamiast odpowiedzi Chase raptownie ją pocałował.

- O Boże, ależ ci to załazło za skórę - westchnął. - Naprawdę myślisz, że to dla mnie takie ważne? W porządku; ja za to nie potrafię napisać książki, nawet gdybyś mi dyktowała linijka po linijce. Za nic w świecie nie wymyśliłbym takiego bohatera, jakiego ty wymyśliłaś.

- Owszem - przerwała mu.

- W każdym razie - ciągnął - chodzi o to, że wcale nie muszę się z tobą użerać. Bo kocham wszystko co robisz. Jesteś wspaniała, piękna, wesoła i dowcipna, odrobinę złośliwa, a także bardzo namiętna. Wypełniasz moje dni radością, a noce, och, Gypsy, noce - najprawdziwszą, czarodziejską magią. Zobaczyłem w twoich oczach współczucie dla małego, osamotnionego w internacie chłopca - . i od tej chwili wiedziałem, że to ty jesteś kobietą, na którą czekałem całe życie. Tak, jesteś skarbem, który odkryłem dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności.

- Kocham cię, Chase - szepnęła Gypsy, drżąc ze wzruszenia. - Bez ciebie byłam taka pusta, taka samotna... Gdybym nie potrafiła już nic więcej napisać, byłoby mi bardzo trudno żyć. Lecz jeśli miałabym już nigdy cię nie widzieć, to z pewnością bym umarła. Boże, byłam taka głupia, taka głupia! Że też nie wiedziałam tego wcześniej!

- Kochana, moja kochana Gypsy - szepnął Chase. Całowali się znowu, rozkoszując się swoją wzajemną bliskością.

Po dłuższej chwili pierwsza odezwała się Gypsy:

- Pardon, nie chciałam przerywać tak uroczej chwili... Obawiam się jednak, że musimy wstać.

- A to dlaczego? - Chase zerknął na nią spod oka. - Przecież nie ma tu nikogo.

- Jest, i to bliżej niż myślisz - podrapała się w kostkę. - Zdaje się, że położyłeś mnie na mrowisku. Chase parsknął śmiechem. Podniósł się i pomógł dziewczynie wstać.

- Oj, Gypsy! Chyba ci to już mówiłem: sam Cyrano de Bergerac, postać bez wątpienia tragiczna, romansując z tobą, nie powstrzymałby się od śmiechu!

- A widzisz? Powinieneś być wdzięczny, że ci się trafiłam.

- Szczęściu własnemu nie wierzę - zaczął ją otrzepywać.

- Chase!

- Słucham?

- Przecież leżałam na plecach. Nie na brzuchu.

- A, rzeczywiście - objął ją i uśmiechnął się niewinnie.

Gypsy prychnęła i powiedziała z przekonaniem:

- Jesteś nieznośny. Po prostu nieznośny.

- Co to, to nie! Czy to moja wina, że nie mogę utrzymać rąk z dala od ciebie?

- Powaga i godność - odparła z namaszczaniem, jakby recytowała wyuczoną lekcję - winny nam towarzyszyć każdego dnia.

- E tam, niepotrzebne mi takie towarzystwo. Ani tobie.

- Potrzebne, nie potrzebne - przyda się, jak się już pobierzemy. A propos: czy my się pobierzemy?

- Jasne!

- No, bo już się zastanawiałam. Nigdy o tym nie wspominałeś.

- Czekałem, aż mnie o to poprosisz, kochana.

Gypsy przypomniała sobie radę, jakiej swego czasu udzieliła jej matka - i parsknęła śmiechem.

- Boże, przynajmniej nikt mi nie powie, że nie zrobiłam wszystkiego, co w mojej mocy. Czy będziesz ze mną szczerzy? Ha, może i będziesz. Powiedz mi, proszę, czemu właściwie chcesz się ze mną ożenić?

- Nie powiem, dopóki nie padniesz przede mną na kolana i nie przysięgniesz na wszystkie świętości, że twoja miłość jest wieczna.

- A nie mogłabym zrobić tego na stojąco? Zrozum, mrówki...

- No dobrze. Zgadzą się, aczkolwiek niechętnie.

- Doceniam to - objęła go za szyję i spojrzała w roześmiane oczy. - Kochany mój. Nawet w najśmielszych snach nie marzyłam, że spotkam kogoś tak niezwykłego jak ty - mówiąc to czuła, że z każdą chwilą staje się coraz bardziej poważna. Oto żart zamieniał się w z głębi serca płynące wyznanie. - U twego boku poradzę sobie z każdą przeciwnością losu, a przykrości, jakie niesie ze sobą życie, będą dla mnie niczym. Zrobię dla ciebie wszystko, absolutnie wszystko. Jeśli zażadasz tego, porzucę sprawy, który miały i mają dla mnie jakiegokolwiek znaczenie. Pójdę za tobą w ogień, pójdę za tobą do samego piekła. Będę cię kochać aż do samej śmierci. Czy chcesz tego? Kochany, czy ożenisz się ze mną?

Chase westchnął, głęboko wzruszony.

- Tak, tak, najdroższa.

Oboje długo milczeli, tuląc się do siebie. Wreszcie Gypsy uśmiechnęła się.

- Tak oto zostaliśmy zaręczeni.

- Dość krótka była to ceremonia - odparł wesoło Chase.

Rozdział 10

Gypsy obudził natarczywy dzwonek telefonu. Któż to u licha? O tej porze?!

Miała za sobą morderczy dzień. Przelecieli z Chase'em pół świata, z Genewy, gdzie akredytowany był jego ojciec, do Portland, nie zatrzymując się po drodze nawet na krótki odpoczynek. Dziewczyna była tak skonana, że nie wiedziała nawet, jaka jest pora roku - a co dopiero dzień tygodnia. Dość już miała bezsenności, zatłoczonych dworców lotniczych, wiecznie spóźniających się samolotów. A teraz ten telefon. Jezu, wściec się można! O ósmej rano!

Przechyliła się przez Chase'a - na szczęście spał jak zabity - i, macając na oślep, podniosła wreszcie słuchawkę.

- Sł... słucham - mruknęła nieprzytomnie.

- Wyjechałaś, wyjechałaś na długie tygodnie - usłyszała łagodny, smutny głos. - I nie uprzedziłaś mnie. Wściekle trzasnęła słuchawką. W jednej chwili oprzytomniała. Usiadła na łóżku. Z nienawiścią patrzyła na telefon. Jeśli jeszcze raz zadzwoni!... O, przebrała się miarka. Dostyc już tego! Obudziła Chase'a. Zerknął na nią, zaspany, przeciągnął się i ziewnął potężnie.

- Co się stało? Masz taką minę, jakby dom walił się nam na głowę. Kto dzwonił?

Gypsy pomyślała, że jedynie kuracja wstrząsowa może tu przynieść spodziewany efekt. Podciągnęła kołdrę i przykryła się nią. Udając wzburzenie, zawołała:

- Chcę rozwodu. I to natychmiast!

Chase uniósł się na łokciu i spojrzał na nią niezbyt przytomnie.

- Co? Pobraliśmy się przed kilkoma tygodniami, a ty już chcesz się rozwodzić? Znudziło ci się czy co? „Naciśnij mocniej” - pomyślała.

- Pomyliłam się, wychodząc za ciebie. Wiedz, że kocham mężczyznę, który przed chwilą zadzwonił. Nie znam go wprawdzie, wiem tylko, że ma głos podobny do twojego. Myślałam... Ale teraz widzę, że się pomyliłam. To nie ty! Wynoś się z mojego łóżka!

Chase wzdrygnął się. Pokręcił głową, jakby nic, kompletnie nic z tego nie rozumiał.

- Gypsy, uspokój się. Pewnie miałaś zły sen. Ciii, już dobrze. Połóż się, kochana.

- Nie ma mowy. Rozwodzimy się!

- O, co to, to nie. Małżeństwo ma swoje zalety. A poza tym, gdyby mój ojciec się dowiedział, że ni z tego, ni z owego pozwoliłem ci odejść... Jezu, postawiłby mnie chyba przed plutonem egzekucyjnym. Toż pół Genewy wie już, jaką ma wspaniałą synową. „Proszę sobie wyobrazić, to ta słynna pisarka...”

- Taak? A więc tylko dlatego nie chcesz się rozwieść? Jeszcze dziś idę do mojego adwokata!

- Spokojnie. Dzisiaj sobota.

- A... to w takim razie w poniedziałek!

Chase bezceremonialnie zamknął dziewczynę w ramionach. Prawie nie mogła się ruszać.

- Nie ma mowy, nigdzie nie pójdziesz. Pirat zaczyna mnie już lubić. Włożyłem w to wiele wysiłku i ani mi się śni teraz go od siebie odzwyczajając. Jeśli mimo wszystko nie przekonałem cię - z czym się, naturalnie, liczę - to pomyśl, że już nigdy w życiu nie trafisz na tak zgodnego i skłonnego do ustępstw faceta. A propos: załatwiłem ci pracę w Richmond. Pilnowanie domu. Oferta na całą zimę.

Gypsy westchnęła cicho, zrezygnowana. Pożegnała się z nadzieją wyjaśnienia sprawy tajemniczego wielbiciela.

- Powiedz mi, czy wczoraj wieczorem przywitaliśmy się z Jake'em i Sarą? Pamiętam jak przez mgłę... Chase roześmiał się.

- Wcale się nie dziwię. Byłaś tak śpiąca, że musiałem nieść cię na rękach. Zmarszczyła brwi.

- A więc byli tutaj. Czy nie powinni raczej pilnować twojego domu?

- Naszego domu, Gypsy. Ciągłe o tym zapominasz - zganił łagodnie. - Tak, byli tutaj. Dotrzymywali towarzystwa Amy, która, jak sama widziałaś, zdążyła już wrócić od krewnych.

- Aha - Gypsy ziewnęła potężnie. Postanowiła zmienić temat:

- Boże! Żeby tak ciągać własną żonę przez pół świata, i to samolotem. Jesteś nieludzki. Rozumiesz, gdyby człowiek stworzony był do latania...

- ... to by miał skrzydła - dokończył Chase.

Skrzywiła się z niesmakiem. Machnęła ręką. Z takim uparciuchem nie można dojść do ładu.

- A tam! Chcę ci tylko powiedzieć, że wszystko mnie boli od wysiadania w dworcowych poczekalniach. A zwłaszcza tyłek.

Chase czule poklepał tę najbardziej obolałą część jej ciała.

- Nic ci nie będzie. Przy mnie szybko wydobrzejesz. A swoją drogą... mogłaś mi wcześniej powiedzieć, że masz lęk wysokości.

- To wcale nie jest lęk wysokości. To... taka mała fobia - broniła się.

- Rozumiem. A więc żadnego lęku wysokości. Możesz mi powiedzieć, jak ci się podobały Alpy z lotu ptaka?

- Nie. Nie mogę.

- A to dlaczego, kochanie? - dopytywał się z ironicznym uśmiechem.

- Cholera, przecież wiesz, że przez cały czas miałam zamknięte oczy!

- Coś mi się zdaje, że ojciec miał jednak rację. Powinniśmy byli pojechać pociągiem do Bordeaux, a potem wsiąść na statek.

- Co? Podróż statkiem? Przez Atlantyk? - Gypsy była przerażona. Chase wybuchnął gromkim śmiechem.

- No nie, jesteś komiczna. Latasz samolotem, mimo że masz lęk wysokości. Odmawiasz za to wejścia na pokład transatlantyku, chociaż bardzo lubisz pływać. I bądź tu mądry, człowieku!

- Cóż, samolot jest jednak dużo szybszy. A zresztą, nie mam zamiaru tłumaczyć ci się z moich... małych fobii. Mówiłam ci, że nie jestem najlepszą partią do wzięcia. Nie słuchałeś. To masz teraz irracjonalną żonę.

- Mam wspaniałą żonę - poprawił Chase. Gypsy znów zmieniła temat:

- Słuchaj, Chase - powiedziała, marszcząc czoło. - Pamiętam, że zanim odlecieliśmy do Europy, pomagałeś mamie wnieść do naszego domu paczkę... Wyglądała mi na owiniętą w papier obraz. Co to było?

Chase pokiwał głową.

- Oto moja Gypsy. Prędzej czy później wszystko wyniucha, do wszystkiego dotrze. Dziewczyna uniosła się na łokciu i spojrzała na niego groźnie.

- Nie odwracaj kota ogonem. Co wy tam z mamą knujecie? Mów natychmiast!

- Sherlock Holmes w spódnicy. O; pardon, raczej bez...

Spiorunowała go wzrokiem. Widząc, że grozi mu poważne niebezpieczeństwo, Chase wyjaśnił czym prędzej:

- Wiem, że najtrudniej znaleźć to, co leży na wierzchu. Spójrz za siebie. Wczoraj wieczorem byłaś naprawdę śpiąca, ale dlaczego dzisiaj...

Obejrzała się - i zamarła z wrażenia. Nie mogła oderwać oczu od dużego, zajmującego sporą część ściany płótna. Chase milczał długą chwilę. Pozwolił jej patrzeć w skupieniu.

- Rebecca namalowała ten obraz specjalnie dla mnie. Na odwrocie jest data wraz z dedykacją. Złożyłem zamówienie w tę sobotę, kiedy zaprosiliśmy ich na obiad, pamiętasz?

Umilkli. Chłonęli obraz w ciszy.

Chase znów się odezwał. Mówił cicho, niemal szeptem:

- Nie wiedziałem, że i mnie namaluje.

Dla patrzącego na obraz od pierwszej już chwili było jasne, że malarz musiał widzieć mariny w sypialni Chase'a. Prawdopodobnie pod ich wpływem stworzył dla sceny figuralnej swego płótna rozległe morskie tło. Tak harmonizując je z pozostałymi pejzażami morskimi, znajdującymi się w tym pomieszczeniu, jednocześnie je wyodrębnił. Malowidło wyróżniało się bowiem wyraźnie brakiem owego piętna pustki i samotności, charakterystycznego dla pozostałych obrazów. Było pogodne, tak w ogólnej atmosferze, jak i w kolorystyce.

Postacią centralną była Gypsy. Stała na plaży w swym powłóczystym, jedwabno - koronkowym peniuarze, zapatrzona daleko w morze. Stosunkowo nisko nad nią wisiały przejrzyste obłoki. Ale były to obłoki niezwykle: podobne do mgły raczej, do zwiewnego oparu, który uformował się w misterne, pajęczne wizje: oto jednorożec o długiej, smukłej szyi, oto bajkowy gotycki zamek, najeżony blankami i wieżyczkami, oto przepływający na drugą stronę tęczы statek - widmo o wydętych żaglach. Promienny Apollo powozi słonecznym rydwanem, przy sterze żaglowca stoi czerwonowłosy pirat, rycerz w białej zbroi dmie w róg u stóp zwodzonego mostu.

Chase stał nieco z tyłu, przecięty krawędzią płótna. Nie patrzył ponad horyzont, patrzył znacznie bliżej - na Gypsy.

Jego regularna twarz i pięknie oddane zielone oczy miały w sobie jakąś nieuchwytną tęsknotę.

Gypsy westchnęła głęboko; teraz dopiero zdała sobie sprawę, że w zachwycie i zapatrzeniu wstrzymała oddech.

- Och, to niesamowite - szepnęła najciszej, jak mogła. - Zawsze dziwiłam się, że mama tak wiele widzi. Że patrzy - i dostrzega. Także i to, czego nie widać gołym okiem. Czy zauważyłeś, że wszystkie postacie z chmur mają twoje rysy? Tak właśnie było: patrząc na ciebie, oczami wyobraźni zawsze widziałam herosów, bohaterów legend i bajek. Pomyśl, ona wiedziała o tym, czego ja sama nie byłam świadoma!

Chase ucałował nagie, śniade ramię dziewczyny. Gypsy odwróciła ku niemu głowę i obdarzyła go najpromienniejszym z uśmiechów.

- Musisz przyznać, że twój bohater jest oryginalny - rzekł.
- Któż inny przetrząsnąłby wszystkie bazyry Genewy w poszukiwaniu zegara - Buddy?

- O Jezus, dotąd pamiętam minę twojego ojca, gdy pojawiłeś się w domu z tym zegarem pod pachą!

- Poczciwy papa. Myślał, że to już wszystko. A myśmy sobie nie żalowali; toż to był nasz miodowy miesiąc! Drewniana figurka jeźdźca, dziewiętnastowieczna kopia miecza Recceswintha, króla Wizygotów, zaśniedziała „lampa Aladyna”, słodkie szkaradzieństwo... Tak, to był udany połów.

- Dla jasności przypomnę, że to ty zakochałeś się w mieczu - Gypsy skrzywiła się kwaśno.

- Owszem. Będzie nam przypominał o miłości idealnej, dworskiej.

- Dobrze, niech sobie przypomina. Ale lepiej, żeby wisiał na ścianie. Bo jeśli myślisz, że będziesz mógł tańczyć z czymś takim u boku...

- Jeśli ty natomiast myślisz, że z twojej lampy wyskoczy usługny džinn...

- Nie przepadasz za mężczyznami silniejszymi od ciebie, prawda?

- Przyznaję, masz rację. A propos: to ja z kolei miałem rację mówiąc, że szwajcarska dieta czyni cuda. Przybyło ci parę kilogramów; w tym wyjątkowym przypadku dieta jest tym lepsza, im szybciej tuczy.

- Za bardzo tuczy, jak na mój gust - dziewczyna spojrzała krytycznie na tę część ciała, której szwajcarska dieta posłużyła szczególnie dobrze.

Chase przyciągnął ją do siebie. Mruknął:

- Moje maleństwo, moje chucherko! Jeszcze mi cię wiatr wywieje z łóżka. Oświadczam kategorycznie, że przed powierzeniem ci misji wydania na świat Kukufata i Zojdy Mitchellów będę cię karmił tłusto, oj, tłusto!

Gypsy wybuchnęła niepohamowanym śmiechem.

- Boże, co za imiona! Toż dzieci miałyby zmarnowane całe życie!

- Gypsy, proszę cię... Nie jestem uparty; w tej jednak materii pozwolę sobie stanowczo nalegać.

- Mowy nie ma! Zostałabym wdową, jak tylko dotarłoby do nich, jaką im wyrządziłeś krzywdę! Chase westchnął, zrezygnowany.

- Jesteś nieznośna. To moja pierwsza szansa, by pokazać, na co mnie stać.

- Wolalabym, żebyś ćwiczył na kociętach Aniołka. A może wymyślisz imię dla twojego mercedesa? Wiem! Specjalnie w tym celu kupimy psa.

- Psa już mamy.

- Taak? Pierwsze słyszę.

- Co ty powiesz? Nazywa się Bucefał.

- Ale to jest pies Robbinsów, a nie...

- Był. Pamiętasz, jak dzwoniłem do niech przed naszym wyjazdem? Otóż Tim dostał w Londynie posadę, na razie na

dwa lata, ale ma nadzieję, że utrzyma się na niej znacznie dłużej. Angielskie przepisy dotyczące sprowadzania zwierząt są szczególnie surowe. Bucefał musiałby przejść sześciomiesięczną kwarantannę w specjalnym ośrodku. Zamordowaliby biedaka. Tim pytał więc, czy nie chcielibyśmy go przygarnąć. Zgodziłem się.

Gypsy uśmiechnęła się radośnie.

- Och, to cudownie! Widzę, że rodzinka powoli się powiększa. Chase zmysłowo pocałował ją w szyję. Mruknął:

- Mmm, przyspieszymy to, prawda, moja Gypsy?

Zamknęła oczy. Była taka szczęśliwa, tak bardzo szczęśliwa! Uśmiechnęła się i powiedziała cicho:

- „Moja Gypsy”. Po raz pierwszy nazwałeś mnie tak tamtego dnia, kiedy zdarzył się wypadek. Czy już wtedy byłeś mnie tak pewien?

- Nie, nie, to nie była pewność. Raczej nadzieja - odparł równie cicho. - Nadzieja silniejsza niż wszystko. - Zawahał się. Spojrzał na obraz i uśmiechnął się tajemniczo:

- „Tak byłaś moją niby w sennej zjawie, we śnie człęk królem, kto wie, czym na jawie...?”